

SELMA LAGERLOF

Wyrzutek



Księgarnia Biblioteki Dzieł Wyborowych
Warszawa, Sienkiewicza 12



103200

Złożono i odbito w drukarni „Rola”
Jana Buriana, Mazowiecka Nr. 11

K-52/80/114571

CZĘŚĆ I

WYSPA GRIM

Na wyspie Grim, w zachodnich szerach Szwecji, mieszkali kilka lat temu mąż i żona, bynajmniej do siebie niepodobni. On, o jakie piętnaście lat od niej starszy, był nawet za młodu brzydkim, powolnym i ślamazarnym, nic więc dziwnego, że go starość nie zrobiła ani piękniejszym, ani żywszym. Ona przeciwnie. Mimo pięćdziesiątki, postać jej nie straciła nic z dawnej powiewności, a ładna i miła twarzą zachowała jeszcze tyle urody i wdzięku, że można ją było wziąć za dwudziestoletnią osobkę.

Pewnego niedzielnego wieczora siedzieli oboje małżonkowie na dużym występie kamiennym, który wyzierał z pod ziemi na wprost ich domu, i spokojnie sobie rozmawiali. Mąż, który umiał się wystawiać i lubił wsłuchiwać się w to, co mówił, rozgadał się przed żoną o artykule, który dziś czytał w gazecie. Ona słuchała, ale nie bardzo uważnie.

— Ach, ten Joel, ten Joel — myślała sobie, podczas, gdy on mówił, — że też on potrafi wydobyć tyle mądrości z jakiejś tam gazety! On ma jednakże głowę na karku. Szkoda tylko, że z tego korzystali zawsze obcy, i ani jemu ani mnie nigdy nic z tego nie przyszło.

Rozmyślając tak, przeniosła wzrok na dom mieszkalny, dość wprawdzie obszerny, ale tak zapadły, że o mieszkaniu w nim nie mogło być mowy, więc musieli się przenieść do oficyny, która za poprzednich właścicieli, z ojca na syna samych kapitanów okrętów, służyła za kuźnię i rupieciarnię.

— Jaka szkoda, że Joel nigdy nie lubił morza. Zostałby kapitanem, tak jak jego ojciec i dziadowie, — snuła w swej głowie dalej, — a my mielibyśmy zaoszczędzony grosz i mogli spokojnie oczekiwać starości. Ale on się zawsze przy tem upierał, żeby pracować na roli. To też dzieje się nam tak, jak się dzieje.

Podczas, gdy on mówił i mówił, ona siedziała na miejscu, tylko mała jej główka, która kołysała się z taką łatwością, jak gdyby siedziała na szyjce ptaka, wykręciła się w ten sposób, że mogła objąć wzrokiem kilka kawałków ornej ziemi, oraz pole kartofli, które leżały, jak okrągłe wysepki, wśród potężnych skalistych występów, stanowiących właściwy grunt wyspy Grim. Wszystkie owe małe półka uprawiane były ręką jej męża. Można powiedzieć, że przez niego zostały stworzone. Sprowadzał na wyspę nieskończoną ilość ładunków ziemi i nawozu w tem przekonaniu, że kiedyś osiągnie wystarczającą nagrodę za wyłożony trud i pracę.

— A jak się on mozoli nad tymi małymi kawałkami ziemi, — myślała dalej, — a przecież potrzeba tylko, żeby przyszedł jakiś mocniejszy północny wiatr około Zielonych Świątek, aby wszystko przepadło, co zasiane i posadzone. Nie, jak ktoś mieszka tak, jak my, to rzecz jasna, że utrzymanie powinno się czerpać z morza — tylko z morza.

Znów wykręciła główkę. Na przestrzeni między domem mieszkalnym a oficyną mogła dojrzeć duże, błyszczące zwierciadło wodne.

— Ach, to morze! To morze! — westchnęła. — To jest przynajmniej coś. Jedzie się, targuje i zarabia pieniądze. Żebym ja była mężczyzną, tobym napewno nic innego nie wybrała. O, to pewne, że nigdybym nie pracowała na roli. Co to będzie, jak przyjdzie starość, i sił nie stanie, aby tego dopilnować? Żadne z naszych dzieci nie chce być w domu i pomagać nam w tej nudnej pracy, i trudno też tego od nich wymagać.

Widocznie, że ostatnie słowa musiały się jej wyrwać głośno, skoro mąż, który opowiadał właśnie o wszystkich niebezpieczeństwach, na jakie narażona była pewna angielska ekspedycja do bieguna północnego, przerwał w środku zdania.

— Oczywiście, że słucham, — upewniała go żona. — Siedzę i rozmyślam właśnie nad tem, że tak pięknie umiesz mówić. Doprawdy, że mógłbyś zostać kaznodzieją.

— Nie wiem, co właściwie odpowiedzieć na tę pochwałę, — odrzekł i uśmiechnął się dobrotliwie. — Skoro nie mogę moją wymową porwać słuchacza, jakiego mam przed sobą, jakże więc mogłoby mi się to udać z całą rzeszą innych?

— Przecież ja wszystko słyszałam, — wybuchnęła ona, zacerwieniwszy się po uszy. — Mówiłeś, że stracili okręt zaraz pierwszej zimy, że musieli zrobić sobie chatę ze śniegu i musieli pozostać w niej do następnego lata, i że jak się im wszystkie zapasy wyczerpały, to leżeli i ssali pasy skórzane.

Mówiła gniewnie, i mała fałda koło ust, świadcząca, że niewiele potrzeba, by ją wprawić w zły humor, występowała coraz wyraźniej.

— Zapytuję sam siebie, Talo, jakby się to odczuwało, gdyby się miało tam kogoś ze swoich — gdybyśmy wiedzieli, że leży głodny w chacie ze śniegu, — dodał mąż.

Rzuciła na niego bystre spojrzenie. Czy się jej zdaje, że Joel powiedział to z jakimś szczególnym naciskiem? Ale on siedział i patrzył wprost przed siebie, a jego stare, wyblakłe oczy pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu.

— Ba, gdyby człowiek chciał myśleć o tych, którym jest źle na świecie, nie mógłby mieć ani chwili wesołej w życiu, — rzekła. — Ostatecznie przecież nadeszła im pomoc.

— To prawda, — przyznał mąż. — Przybył statek, który ich odszukał, i powrócili do Anglii.

— A teraz zyskali sobie cześć i sławę na całe długie życie, — dokończyła.

Nie sądziła, aby się tu było czem martwić. Lecz on ciągnął dalej w tym samym niewesołym tonie:

— Śnił mi się tej nocy nasz syn Swen. Stał przed moim łóżkiem i skarżył się, żeśmy źle z nim postąpili. Nie jestem z natury przesądny i teraz bynajmniej przesądem się nie kieruję — ale czy nie jest to dziwne, że właśnie jego imię wyczytałem dziś w gazecie?

Powiedział to tonem zupełnie naturalnym, jakby do siebie, ale jednocześnie śledził ją pilnie oczyma.

Żona stanęła przed nim i zarzuciła pytaniami. — Gdzie stało imię Swena? Co mu się śniło? Czy to możliwe, aby tu szło właśnie o ich Swena?

Mówiła głosem podniesionym, nozdrza jej poruszały się, a oczy zaszczyły łzami.

Z pewnością nie doszłaby do takiego stopnia podniecenia, gdyby chodziło o którekolwiek inne z jej dzieci. Ale Swen miał przecież dziewięć lat, kiedy go oddali jakiejs podróży angielskiej parze, która zrobiła wycieczkę na ich szery w łodzi motorowej. Ludzie ci tak się zakochali w ich chłopcu, że obiecywali, iż jeżeli tylko wolno im będzie go z sobą zabrać, to

dadzą mu piękne wychowanie, wykierują na pana i zrobią swoim spadkobiercą. Wielki los otwierał się przed pacholęciem z Grimu i biedni rodzice uważali, że dla dobra dziecka powinni pozwolić mu jechać. Taki był zdolny! I tyle razy mówili o tem między sobą, że coby to z niego było, gdyby mógł otrzymać wykształcenie.

Od tej pory minęło siedemnaście lat, a od chwili gdy ich opuścił, nic o nim nie słyszeli. Ani jednego listu, ani słówka pozdrowienia. Nie wiedzieliby o nim więcej, gdyby leżał na dnie morza.

— Patrzaj! Widzisz? — powiedział mąż, podając żonie gazetę. — Ot, tutaj, wśród listy uratowanych, masz najwyraźniej: Swen E. Springfield.

— Tak, prawda — Swen E. Springfield.

— Tak, napewno. — To nie może być nikt inny, jak Swen Elverson Springfield. — Jego imię, moje i jego przybranego ojca.

Żona przysunęła do siebie gazetę. W tej chwili stanął jej w myśli ten, którego się pozbyła z własnej, nieprzymuszonej woli, a który był jej najdroższym ze wszystkich dzieci.

— Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś odrazu, że Swen był z nimi. Ja wcale nie słuchałam. Teraz musisz mi wszystko opowiedzieć raz jeszcze od początku.

Tego nie oczekiwał. Myślał, że opowie żonie całą historję, zanim jej da do zrozumienia, że tu chodzi o ich syna. W ten sposób poszłoby łatwiej. Byłby zobaczył, jakie to na niej zrobi wrażenie, i mógłby stosownie do tego postąpić.

Tymczasem opowiadał jej wszystko, co chciała wiedzieć. Objaśnił jej, co oznacza osmdziesiąty stopień.

Słuchała o synu z dumą i zastanawiała się nad tem, że może on z towarzyszami dotarł dalej jeszcze

na północ, niż wszyscy ich poprzednicy. Chciała wiedzieć, czem się żywili, gdy zaginął okręt z zapasami, i pragnęła słyszeć kilkakrotnie o tem, jak ekspedycja ratunkowa znalazła ich tego lata, półmartwych z głodu na wybrzeżu wyspy Melville.

— Ile on przeszedł! — westchnęła. — Nie powinno się nigdy swoich dzieci powierzać obcym.

— Ale teraz przecież los jego jest ustalony — powiedziała, promieniejąc. — Nie ma co mówić, zrobił karierę. Czekają go odznaczenia i medale bez liku.

I zaczęła sobie wyobrażać, jakie to przyjęcie zgotowano jej synowi w Anglii.

— Miljony narodu wyszły na spotkanie podróżników do bieguna północnego, — powiedział Joel.

Czuł się do najwyższego stopnia niespokojnym i znużonym. Cała ich przyszłość zależała przecież od tego, czy stać go będzie na to, by ułożyć myśli w właściwy sposób.

— Czy każdemu wolno było tam być? — odezwiała się ona. — Gdybym to ja tak mogła stać na jakimś rogu ulicy i ujrzeć go, jak przechodził!

— Nie potrzebowałabyś stać na rogu ulicy, — odparł. — Pisz w gazecie, że był specjalny statek przeznaczony dla rodziców i krewnych.

Fizjognomja żony straciła nagle wszelki wyraz wesołości.

— Ach, Joelu! — wykrzyknęła. — Albożby się to nam na coś przydało, gdybyśmy nawet tam byli?! Napewno ani dla mnie, ani dla ciebie nie byłoby wyznaczonego miejsca na statku. Albożby ona do tego dopuściła?!

„Ona“ była dla matki Elverson ową angielską panią, która jej zabrała syna. Nie wybaczyła jej i nigdy by nie mogła wybaczyć, że mu nie pozwoliła pisać do

rodziców. W myślach swych zrobiła z niej oddawna prawdziwego potwora.

— Co do mnie, — sędzę, że pozwolonoby nam jednakże przywitać się z nim i pozostać, — odparł mąż. — W gruncie rzeczy dogadzało mu to, że ją obchodzą tak mało znaczące fakty. Zyskiwał na czasie. Przyjdzie mu łatwiej uporządkować myśli i dobrać odpowiednie wyrażenia dla wypowiedzenia tego, co było najważniejsze, a takie trudne.

— Cała nasza przyszłość zależy od tej naszej rozmowy — powtarzał sobie raz po raz, by podniecić leniwie snujące się myśli.

— Możesz sobie sądzić, co ci się podoba, — odezwiała się gniewnie, odrzucając w tył głowę. — A czy pozwoliła mu na napisanie do nas, chociażby jednego jedynego razu w ciągu tych długich lat!?

— Ale i on nie ma dla nas serca. Co prawda, nie miał skończonych jeszcze dziewięciu lat, jak go zabrali, lecz mógł być mieć na tyle rozumu, żeby pisywać pokryjomu przed nią. Musiała mu dobrze nabić to w głowę, że jesteśmy za wielcy prostacy dla takiego, jak on, pana, i potrafiła mu wmówić, że nie powinien wcale pytać o nas.

Zrobiła się posepna. Myśli, które ją prześladowały przez szereg lat, z całą siłą cisnęły się do mózgu.

— Przynajmniej, — powiedział mąż, — że jeżeli Swen nie napisał ani razu, to wina jest po stronie jego przybranych rodziców. Słyszałem dziś w kościele —

Ale ona tak była gniewna, że nie mogła mówić. Milczała.

— Jakże mi źle idzie — pomyślał. — Jeżeli będzie dalej w takim humorze, to wszystko przepadnie.

— Proboszcz miał wiadomości z Anglii, — powiedział. — Teraz znowu wymknęło mu się coś, czego nie miał zamiaru mówić, zanim jej należycie nie przygo-

tuje i nie wprawi w lepsze usposobienie. Ale nie widział innego wyjścia.

— Zabrał mię z sobą na plebanję — bo to od niego mam te gazety.

— Co? — Proboszcz!?

— Tak. Chciał mówić ze mną o Swenie.

— E, co mnie to wszystko obchodzi! I on taki, jakim jest teraz!? — Zupełnie mi wszystko jedno!

On nie odrzekł ani słowa. Nastąpiło długie milczenie. Wybuchnęła wreszcie gwałtownie.

— Niema na świecie niemożliwszego człowieka, jak ty! Najpierw zaciekawisz, a potem nic nie mówisz. Więc co proboszcz wie?!

— Miał wiadomości o Swenie. Zresztą on sam tu dziś przyjdzie.

— Co? Proboszcz przyjdzie? — Proboszcz we własnej osobie? I teraz mi dopiero o tem mówisz?!

Postąpiła parę kroków naprzód z zamiarem przekonania się, czy wszystko w domu jest w porządku i czy sprzątnięte są pokoje, ale się zatrzymała.

— Powiedz, dla czego ma przyjść proboszcz?! To mi pachnie czemś niedobrem.

Spojrzała bystro na męża, jakby pragnęła wzrokiem przeszyć jego mózg i przekonać się, jakie się tam gnieździły myśli.

— Może się Swen zmienił. Może zmiękł od czasu, kiedy musiał przebywać wśród lodów i ssać pasy skórzane i teraz chciałby nas odwiedzić? Ale teraz, to ja nie chcę. Nie byliśmy dosyć godni go pierwej, to i teraz nie jesteśmy godni.

— Byłoby może lepiej, gdybyś się powstrzymała od zbytnej gadaniny — ostrzegał mąż. — Był na nią w duchu oburzony. Nie mógł jej darować, że była taką niepohamowaną i nie przyjęła tego tak, jak onby to uczynił.

Ona zapomniała zupełnie o sprzątaniu w pokojach. Ostatnie słowa jej męża nie mogły oznaczać czego innego, jak tylko to, że odgadła prawdę.

— Czy wiesz, co to były za wiadomości, które otrzymał proboszcz?

— Częściowo.

— Czy to on cię prosił, abys mi powiedział, co było w gazecie?

— Nie. O ile mi się zdaje, to on sam zamierzał ci to powiedzieć. Lecz zdawało mi się, że lepiej cię trochę przygotować.

— Masz słuszność. Daleko lepiej, że miałam trochę czasu się zastanowić. Inaczej mogłabym pod pierwszym wrażeniem zgodzić się, by go przyjąć i powitać, a późniejbym tego żałowała.

W nim wzrastała irytacja. — Ona gotowa zburić całą naszą przyszłość. — Lata nie zrobiły jej wcale mędrszą. — Ona z roku na rok coraz bardziej głupieje.

— Przypuszczam, że proboszcz będzie zadowolony, widząc, że się o Swena wcale nie troszczysz. Nie będzie mu trudno mówić o tem, o czem chciał ci powiedzieć.

— Jakto? — Nie będzie mu trudno. — Co to właściwie ma znaczyć? — I stała się, jakby jeszcze twardszą.

— Bo widzisz — zdaje się, że Swena spotkało nieszczęście. Ten wjazd do Londynu miał się odbyć zeszłej niedzieli z całą uroczystością. Ale się nie odbył. Jeszcze w poniedziałek czyniono przygotowania. Lecz tymczasem nadeszły złe wiadomości o uczestnikach wyprawy do bieguna.

Jej twarz zeszytniała. Co przyjdzie jej teraz

usłyszeć? — A może on popełnił coś niewłaściwego — bełkotała przez zaciśnięte zęby.

— Zdjęto chorągwie i kwiaty, i wszystko zostało wstrzymane. W poniedziałek, prawie że nie można było przecisnąć się przez ulice, takie były tłumy. Każdy chciał ich zobaczyć. A we wtorek chciano ich bić i tratować.

Matka Elverson coraz to wyżej podnosiła głowę.

— Co ty mówisz?! Więc byłoby może lepiej, gdyby się był trzymał prawdziwych swoich rodziców.

— Trzeba ci wiedzieć, że to nie pierwszy raz przytrafiło się coś podobnego tam na północy. Przechodzili chorobę głodową, pomieszało im się w głowach z głodu i nie wiedzieli, co czynią. Jeden z rozpaczony poderżnął sobie gardło, a potem — — —

— Zjedli go może — dokończyła żona.

Stała spokojna i chłodna. Przepełniały ją niesmak i gorycz.

— Nie byli mniej niepoczytalni, niż ci, którzy siedzą w domu obłąkanych, — rzekł mąż. — Zresztą pisze w gazecie, że zjedli tylko jedną rękę. Więcej nie mogli.

— I Swen zrobił to także?!

Jeżeli dochodzi do czegoś podobnego, to dbają o to, ażeby każdy zrobił to samo. Zmusili go, więc wziął kawałek do ust, jak inni. Ale też i nie więcej, jak tamci.

— A, teraz już wszystko rozumiem, — odparła z nieopisaną wzdrganą, — i wiem, o czemby proboszcz chciał ze mną pomówić. Teraz chciałaby się Swena wyprzeć, prosi więc pastora, żeby nas namówił, abyśmy mu pozwolili wrócić do domu. Czy nie tak?

— Byłoby to może najlepszym wyjaśnieniem, — powiedział.

— O, co to, to nie! Na to ja się nigdy nie zgodzę! Zapomniał o rodzicach, kiedy mu było dobrze, a teraz niech w siebie nie wmawia, że go przyjmujemy. Biedni jesteśmy, starzy i bezsilni, ale przyjąć syna, który tak postąpił, że się go każdy wstydzi? — — O, nie! — Mąż ogarnął ją spojrzeniem, w którym malowało się oburzenie. Był zniecierpliwiony do najwyższego stopnia. Stary był i pozbawiony sił. Mieć w domu zdolnego do pracy syna, byłoby dla niego szczytem szczęścia. Żona wydawała mu się złą i upadłą. — Poczekaj — myślał, — usłyszysz takie nowiny, że będziesz zadowolona!

— Jest tak, jak mówiłem — powiedział ostro. — Proboszczowi nie będzie bynajmniej trudno powiadomić cię o tem, co stało w liście.

— Alboż nie jest tak, jak myślę? — i ton jej stracił trochę na pewności, wskutek gniewu męża.

Mąż spojrział na nią raz jeszcze z niechęcią.

— Czy chcesz, abym ci streścił to, co proboszcz ma ci do powiedzenia, czy też wolisz poczekać, aż on przyjdzie? — Nie czekał na odpowiedź, tak był wzburzony. Chciał ją ukarać za brak miłości.

— Przybrani rodzice mieszkają wszak w Londynie i Swen powrócił do ich domu. Ale gdy nadeszły złe wieści o podróżnikach do bieguna, posłał mu ojciec do pokoju gazetę, w której było wszystko opisane i — rewolwer, który był nabity.

— A matka, czy o tem wiedziała?! — krzyknęła żona.

— Wiedziała.

— A potem?

— Potem stało się tak, jak chcieli...

— Tak, że Swen nie żyje?!

— Tak. A teraz wiesz, co ci proboszcz ma do powiedzenia.

W KOŚCIELE

Swen Elverson, młodzieniec, witany przez wszystkich, jako syn staruszków z wyspy Grim, siedział w kościele w Applum i dziękował Bogu, że znalazł przystań, w której czuł się swobodnym, i gdzie nie wzbudzał w nikim niesmaku i obrzydzenia.

Na biednej, samotnej wyspie, z dwojgiem jej mieszkańców, nie miał potrzeby się lękać, że spotykać się będzie z owym zwieszaniem się kątów ust, wyrażającym wstręt. Stary ojciec stracił wogóle zdolność silnego odczuwania, więc brzydzić się nim nie mógł. Matka, która zachowała całą swą subtelność, kochała go.

Kościół, w którym znajdował się Swen, był starym budynkiem z sufitem, ozdobionym dużym malowidłem, przedstawiającym sąd ostateczny. Ilekroć spojrzał w górę, wzrok jego spotykał się z postacią czarnego, krzywiącego się djabła, rozniecającego ogień, nad którym wisiał kocioł z gotującymi się grzesznikami w żółtej spienionej cieczy. Swen Elverson pamiętał doskonale owego czarta z przed siedemnastu laty, kiedy po raz ostatni był w tym kościele. Co czyniło tę postać niezapomnianą, to długi, roztrójony na końcu ogon, którego tak zgrabnie używał do mieszania swego kotła z zupą.

Będąc dzieckiem, fantazjował często o owym kuchmistrzu, który tak zręcznie pilnował jednocześnie ogniska i kotła. Teraz rozmyślał nad sobą.

— Jeśliby przypatrujący się co niedziela temu zabawnemu obrazowi funkcjonującego piekła wiedzieli, że wśród nich znajduje się człowiek, który miał kawałek mięsa ludzkiego między zębami, nie mogliby chyba tego znieść i nie pozwoliliby mu dłużej pozostawać w kościele. Jest to może jedna jedyna rzecz, której cywilizowani ludzie nie czynią. Zabijają, popełniają zdrady małżeńskie, nie cofają się przed wszelakiem okrucieństwem, nie mają dość godności, by się nie upijać, nie gwałcić, nie zdradzać i nie szpiegować. Wszystko to dzieje się codziennie. Zapewne, bywają i tacy, którzy się od tego powstrzymują, ale naogół są to rzeczy zwykłe. Jeden tylko ze starych grzechów ludzkich nie powtarza się w cywilizowanym świecie, nie może być popełnionym, bo budzi wstręt. Ten popełniłem ja i jestem większym postrachem niż djabeł.

Jedyną osobą, która prócz rodziców знаła powód powrotu Swena Elwersona, był pastor. Lecz proboszcz przyjął go zeszłej niedzieli tak dobrze. Okazał się wyrozumiałym, rozmawiał z ojcem, towarzyszył mu na wyspę Grim, cieszył się, gdy matka przyjęła go z miłością i pochwalił, że chce pozostać w domu u rodziców. Okazał się prawdziwie wspaniałomyślnym człowiekiem.

Tej niedzieli wszedłszy do kościoła i spostrzegłszy wśród wiernych Swena Elverson, kogoś z obozu zgłodniałych na wyspie Melville, doznał pastor szczególniejszego uczucia.

Wspomógł go i poparł, radował się, że mu się udało przyczynić do połączenia syna z rodzicami i znaleźć przytułek dla biedaka, który popełnił coś, do czego go los zmusił — dla nieszczęśliwca, któryby może w przeciwnym razie musiał skończyć samobójstwem. Nie był jednak przygotowany na to, że go ujrzy w kościele.

— W moim domu, — pomyślał, — nie zawahałbym się przyjąć tego człowieka. Tak — w moim domu. Lecz widzieć go tutaj — z tem nie mogę się pogodzić. On jednakże skosztował mięsa ludzkiego. Postąpił jak poganin, uczynił coś, co wzbudza postrach. Powinien był zrozumieć, że jest to więcej, niż znieść jestem w stanie.

Po chwili karcił sam siebie i oskarżał o brak litości. Pomyślał, że przecież Chrystus przywoływał do siebie grzeszników. Usiłował rozgrzać swe serce i przypominał sobie łagodną i sympatyczną twarz grzesznika. Powstrzymał się od tego, by postać do niego odzwiernego z prośbą, ażeby opuścił kościół, tak jak to w pierwszej chwili zamierzał. Odprawiał nabożeństwo i miał kazanie, jak zwykle, ale nie mógł się pozbyć uczucia wstrętu. Słowa, które wygłaszał, płątały mu się w ustach. Musiał zatrzymywać się kilkakrotnie wśród kazania, by żuć i połykać, zanim mógł mówić dalej. Jak gdyby miał smak mięsa ludzkiego na języku. Stała mu w oczach scena, gdy zgłodniała rzesza rzuciła się na ciało samobójcy.

Wszystko to byłoby n.u obce, gdyby ten człowiek nie był przyszedł do kościoła. Opanowała go jakaś moc, wobec której był bezsilny.

W oburzeniu na siebie zaciskał pięści, zwrócił się w inną stronę, ażeby nie widzieć Swena Elversona, starał się mówić dalej i zmuszał myśli, by towarzyszyły słowom, i poczuł wreszcie, że pozbywa się swego złego nastroju.

Lecz oto z treści kazania wypłynęło, że należało mówić o kłamstwie z potrzeby.

I teraz myśl jego uprzytomniła mu, jak to wtedy, na wyspie Grim, Joel Elverson użył kłamstwa, ażeby dopomóc żonie do poznania swego prawdziwego uczucia.

Lubił zawsze w swych kazaniach ilustrować to, o czem mówił, małemi opowiadaniem z prawdziwego życia. Przykładów takich nie przygotowywał na przód, jak to czynił z resztą kazania, ale przytaczał te, które mu przychodziły na myśl. Teraz wpadło mu do głowy, że zajście, jakie miało miejsce poprzedniej niedzieli na wyspie Grim, nadaje się dobrze jako przykład.

Stało się to w przystępie krasomówstwa, bez uprzedniego zamierzenia.

W trakcie opowiadania nasunęły mu się ostrzegawcze wątpliwości.

— Nie mam może prawa wyjawiać tego przed całą gminą.

Ale przecież nikt go naprawdę nie prosił o to, aby milczał.

Stał się nieswój, usiłował przerobić opowiadanie, lecz nie zdołał, i wszystko wyszło na jaw. Zamierzał jedynie zwrócić uwagę na kłamstwo z potrzeby, tego nie potrafił, a odmalował przed całą gminą przygodę, której właściwie nie powinien był zdradzić.

Z jednej strony wstydził się sam siebie, z drugiej przejmowała go radość, że stratawał przecież tego nieczystego ducha, który śmiał znaleźć się w kościele.

— Ty, wstrętny wężu, dlaczego miałeś się pokazać w domu Boga mego?

Wstręt, który starał się stłumić, wślizgnął się poboczną drogą i oświadczył nim chwilowo całkowicie.

Przez resztę dnia był pastor z siebie niezadowolony. Postąpił jak człowiek, nieumiejący nad sobą panować, jak ktoś niewyrobiony, którym rządzą instynkty.

Wysilał się nad znalezieniem sposobu naprawienia tego, co się stało, lecz nie mógł nic wymyśleć. Trzeba będzie czekać na sposobność. Ale im więcej szperał, tem trudności nastęrczały się większe.

W chwili, gdy pastor schodził z ambony, mieszkańcy wyspy Grim znikli z kościoła.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz i zmuszeni byli stanąć przed kościelną bramą, rozejrzeli się po okolicy. Rzadko spotykana w dystrykcie Bochus zupełnie otwarta i równa płaszczyna rozpościerała się naokół. Nie była zbyt obszerna, ale nie była także bardzo mała. Nie była tak wielka, aby nie można było śledzić sąsiadów lub nie widzieć, co się dzieje na jej krańcach, ale nie była także tak mała, ażeby nie było miejsca na kościół z plebanją oraz parę tuzinów chłopskich dworców.

Dokoła płaszczyny ciągnął się mur kamienny, ani zbyt niski, ani też bardzo wysoki. Nie był tak wysoki aby przeszkadzał przekradaniu się północnych i zachodnich wiatrów; ani tak niski, żeby zamykać widok na góry i śnieżne kolosy.

Na całej płaszczynie ciągnęło się jedno pole za drugim. Nie były one bardzo rozległe, lecz nie takie znów małe. W sam raz właśnie takie, jakie powinny być u zamożnych włościan. A między polami widniały białe, czerwone i niebieskie budynki jednakowej wielkości i takich, jakie potrzeba rozmiarów. Nie było widać wspaniałych domów, któreby zawstydzały sąsiednie dworki i wzbijały w dumę ich mieszkańców.

O roślinności równie twierdzić nie było można, ażeby była pyszna. Drzew w rodzaju lasów, pokrywających góry, albo gajów, jakie się widuje po równinach, nie było, zarówno jak dróg wysadzanych drzewami. Ale trudnoby było zaprzeczyć, że ziemia była żyzna, i że równina rozpościerała się przed nimi w swej jesiennej krasie, jak falujące morze zbóż, traw, grochu, koniczyny i wyki.

Mniej więcej w pośrodku niej stał kościół, skąd byli prawie że wypędzeni. A był to staroświecki, drewniany kościółek, w którym nie można było po-

wiedzieć, by był brzydki, bo miał wysoką, odważną wieżyczkę, która podnosiła myśli ku niebu, lecz nie można także było twierdzić, aby był ładny, gdyż miał ciężką i ciemną nawę, która przytłaczała duszę ku ziemi.

A podczas kiedy ci troje stali przed kościołem, na murze, który go okalał, kroczył tam i napowrót szary, pasiaty kot. Było to ładne stworzenie o dobrze zarysowanych kształtach, lśniącem futerku i miękkich, miłych ruchach.

Lecz przypatrzwszy mu się bliżej, dostrzegli, że było coś nieprzyjemnego w sposobie poruszania się jego członków pod miękkim futrem. Nie podobało się im, że stapał tak cicho, i że zielonawe oczy, które ku nim zwracał, były zamglone i bez wyrazu. Wzbudzał wstręt, ponieważ był gładki i miękki, myślący jednocześnie o tem jak rabować i mordować.

Przed ich oczyma kot wyciągał się i rósł, stał się dużym tak dalece, że zasłonił pasmo gór. A podczas tego, gdy rósł, mruczał i poruszał się zarazem gładko i zaczepnie i stawał się coraz bardziej odpychającym.

I kot stał się dla nich uosobieniem wstrętu, który został wzbudzony i który będzie rósł i rozszerzał się po równinie i nigdzieby nie mógł być tak dobrze zaszczepony jak tu właśnie, gdzie wszystko było tak jednostajne i jednakowe, tak zasklepione i ciasne.

I matka, Natalja Elverson, podeszła do kościoła i zeszkrobała kilka warstewek farby z drewnianej ściany kościelnej, pomalowanej na czerwono, i włożyła je między stronicę swojego psalterza.

— W tym kościele, — powiedziała, — byłam ochrzczona jako tygodniowe dziecko i konfirmowana, jako piętnastoletnie dziewczę, tu brałam ślub i tutaj chyba chować mię będą, ale przedtem żadna siła mię tu nie przywiedzie, dotąd, aż pokuszenie, które mię tu uwiodło, nie będzie odkupione.

SYN I RODZICE

W miarę jak starszycy lepiej poznawali syna, wzrastał ich podziw dla niego.

— Wiesz, co ci powiem, Joelu, — odezwała się raz kobieta, — że gdybym ja była tak po pańsku wychowana, jak on, i gdyby mnie tak nagle zmuszono do wyzbycia się moich pańskich nawyków, — gdybym musiała jeść potrawy takie, jakie tutaj jada, mimo, że byłam przyzwyczajona do lepszych — żebym musiała codziennie pomagać w robocie na roli i nie miała nawet czasu na przeczytanie książki — żebym nie widywała nikogo z lepszych ludzi i musiała od rana do wieczora przebywać z taką parą głupców, jak ty i ja, chodziłabym pewnie skwaszona i zdaje mi się, że i ty nie byłbyś lepszy.

Joel przyznał jej słusność i oświadczył, że i dla niego takie położenie byłoby uciążliwe.

— Ale patrz na Swena — ciągnęła, — jego to wszystko, jakby nie obchodziło. Nie tęskni ani za pieniędzmi, ani za przyjaciółmi, ani za czemkolwiek, co utracił. I to także jest mu obojętnem, że nie ma żadnych rozrywek, ani towarzystwa, któreby go mogło rozweselić. Chodzi za mną, gawędzi sobie i rozprawia, jakby mu niczego więcej nie było potrzeba. Taki zawsze łagodny, uprzejmy i wesoły, jak jagnię. Jedyne tylko przypomnienie o tamtem, jest w stanie przyprowadzić go o zły humor.

— Temu się nie dziwię i za to nie mogę go mniej cenić, że jest drażliwy na tym punkcie. Niema nic boleśniejszego nad utratę czci.

— To prawda, — mówiła dalej. — Najokropniejsze to to, że ludzie nie mogą się do niego przyzwyczaić. Gdy wstąpi na przykład na pocztę lub do jakiego sklepu, zawsze kręca nosem lub rzuca jakieś przykre słowo. Ale, jeżeli o mnie chodzi, to jestem najpewniejsza, że on tego nie mógł zrobić i nawet tylego kąseczka nie miał w ustach. Swen tak przewyższa wszystkie nasze dzieci, jak słońce księżyc. Żeby to taki Joel młodszy, to jeszcze prędzejby powiedział, że mójby może taki grzech popełnić, ale Swen przynigdy! On robi sobie zupełnie niepotrzebne skrupuły.

I tak bywało dzień w dzień, że jak tylko sama była z Joelem, musiała mówić o synu i wynosiła go pod niebiosa.

— Ty nawet nie wiesz, Joelu, — mawiała zwykle, — jaki on nadzwyczajny. A czy zauważyłeś — powiedziała pewnego razu, — że ciągle czyszczę, zamiatam i szoruję. I, jeżeli myślisz, że to na twoją intencję, to się grubo mylisz.

— E, co dotyczy czystości, to byłaś zawsze jedyna, — odpowiedział Joel, który lubił prawić komplimenty, jak się tylko po temu nadarzała sposobność.

— Żeby to tylko to, ale czy nie zauważyłeś, że ja się teraz nigdy nie złoścę, i że jestem taka, że choćby mnie tylko do rany przyłożyć? Czy widziałeś kiedyś przyjemniejszy uśmiech, jak Swena? Mnie się zdaje, że ja na jego skinienie gotowabym była bez namysłu rzucić się do morza.

Mąż się roześmiał.

— Wątpię, żeby mógł sobie tego życzyć, — odparł. — Ale jest dużo racji w tem, co mówisz. Wiesz, jakiego można zrobić porównanie? — Że ten nasz syn,

to tak jak ten kamień na morskiem wybrzeżu. Toczy go i toczy fala z przyływem i odpływem, aż go tak wygładzi i oszlifuje, że nie zostawi najmniejszego ostrego kancika.

I jego obchodził syn równie jak matkę, lecz z tą różnicą, że on się nim nie tylko cieszył, ale się o niego także niepokoił.

Widać było, że syn ugiął się pod brzemieniem ciężaru, który na niego nakładali ludzie, i stronił od nich. Oddalać się z wyspy nie lubił, ale gdyby chciał się z nimi spotykać, mógłby znaleźć niejedną sposobność i na miejscu. Joel był ze trzydzieści lat radcą przy sądzie i z tych wszystkich spraw, które się nawinęły w ciągu tego czasu, zdobył tyle doświadczenia i wiadomości z dziedziny praw i rozporządzeń, że ludzie wciąż się zjeżdżali, by zasięgnąć jego rady, czy to gdy chodziło o kupieckie kontrakty, czy to o jakąś upadłość, spisywanie schedy lub sporządzenie testamentu. Lecz Swen Elverson nie wychodził nigdy do takich klientów, ażeby z nimi pogawędzić. Przeciwnie. Jak tylko zoczył łódkę, przybijającą do brzegu, oddalał się na kraniec wyspy.

— Cóż on ma robić? — mawiała żona, gdy mąż dzielił się z nią swojemi obawami. — Jedno, że mu język szwedzki jest obcy, a następnie, przecież go unikają jak tego rekina, co połyka ludzi.

Joel podniósł głowę, westchnął i powiedział coś, czego ona dobrze nie mogła zrozumieć.

— Jak się chce zostać muzykantem, to trzeba sobie kupić instrument, na którymby można grać.

— To prawda, — powiedziała matka Tola, — ale co ty chcesz właściwie przez to powiedzieć?

— Że jeżeli jest rzeczywiście tak, iż Swen powołany jest do tego, by błyszczeć jak zwierciadło i być przykładem i wzorem dla innych, to nie może pozostać pośród szerów i żyć jak odludek.

Żona spojrzała na męża i promień miłości błysnął w jej oczach.

— Ty przecież całe twoje życie mieszkasz na wyście, a ludziska nachodzą cię, obarczają cię różnego rodzaju zleceniami, no, i wyzyskują porządnie.

Mąż machnął ręką.

— Ja co innego. Nie można porównywać Swena ze mną. Ja się niczego za młodu nie nauczyłem, a Swen zaczął wcześniej i nic nie stoi mu na przeszkodzie.

— Prócz tego jednego.

— Tak, to prawda.

I wyłazi to i płoszy go zawsze, kiedy tego najmniej oczekuje. Czyha, zaczajone, jak kot, by rzucić się do gardła.

— Tak jest, — odparł Joel, — i няма tego cudu, któryby tego kota odsunął.

— Ale nie zapomnij, Joelu, że gdyby nie to nie-szczęście, które nad nim zawisło, nigdyby do nas nie był powrócił. Choć ja wierzę, że on winnym być nie może — dodała.

Zawsze powracała do tego szczęścia, które ją spotkało przez odzyskanie syna. I nie mogła tego zrozumieć ze strony Joela, że on tak dużo sobie robi z ludzkiej niechęci.

— Po co sobie tak dużo robisz z tych głupców? — mawiała do syna. — Jesteś daleko lepszy od nich. Ten, co cię wtedy spotkał na poczcie i co ci się roześmiało w oczy, sfałszował kiedyś weksel. Myślisz może, że on taki znowu bardzo honorowy i ma prawo do ludzkiego szacunku?

Ale z czasem musiała przyznać, że Joel ma słuszność, i że Swen, żyjąc w taki sposób, zupełnie zdziczał. Nabral takiej jakiejś pokory w obejściu, że stawał się śmiesznym. Jakby się czuł prochem. Strasznie był przygnębiony.

Doszła do przekonania, że tak dalej być nie może.

— Musi zajść jakaś zmiana, — myślała. — I chyba Bóg nie opuści nas zupełnie.

Gmina Applum, do której należała wyspa Grim, obejmowała nie tylko płaszczynę dokoła kościoła, leżącą na stałym gruncie, oraz kilka tuzinów paśórków i szerów, rozrzuconych wśród morza, ale także rybacką wioskę Knapefjord, która ze swoimi rybackimi budynkami, schroniskiem dla łódek, długimi mostami, przystaniami, kąpielami, łódkami i bojami *) zajmowała spory kawałek ładu i wody.

Przeprowadzała się tam często matka Elverson w charakterze dostarczycielki masła i jaj w wielu domach. Panie, które były od lat jej klientkami, znają dokładnie wszystko, cokolwiek dotyczyło jej życia.

Wychwalała nieraz przed niemi syna i starała się tłumaczyć, że nie mógł popełnić nic karygodnego.

Wkrótce jednak zauważyła, że wszystko napróżno. Nie powiedziano jej wprawdzie złego słowa, ale udawano, że nie słyszą tego, co mówi. Zupełnie tak, jakby miano przed sobą człowieka, który był zazwyczaj rozsądny, ale którego napadła chwila pomieszanania.

— Och ci szarlatani! — wykrzyknęła raz matka Tala, powróciwszy do domu. — Tak mają serca przepełnione wiarą i bogobojuścią, że niema w nich miejsca na litość!

Joelowi także nie lepiej się powodziło.

Gdy ludzie przychodzili do niego, by zasięgnąć rady, nadmieniał często: że czuje się za starym do tego rodzaju zajęcia, lecz, że syn jego będzie mógł wkrótce objąć jego rolę. Lecz spotykał się znowu z niezrozumieniem. Czy to byli rybacy czy chłopci, z którymi

*) beczki, do których przywiązują łódki w przystani.

rozmawiał, wszyscy byli jednakowo głusi, jak owe strowe żony oficerów marynarki na Knaperfjordzie.

W wigilję Bożego Narodzenia, siedzieli Joel i Tala wraz z synem w owych niskich izdebkach na wyspie Grim i rozmawiali o przyszłości.

— Słuchaj matko, — odezwał się Swen Elverson, który był niezwykle wesołym i któremu było wyjątkowo dziś lekko na sercu, — czy nie uważasz, że w tej starej kuchni jest ciemno i chłodno? Cobyś na to powiedziała, gdybyśmy się przenieśli do drugiego domu?

— Broń Boże! — wykrzyknęła. — Tam przecież niema ani podłóg, ani powały.

— Ale mogą być, — odpowiedział syn. — Oglądałem ściany, są nienaruszone. A pokoje takie są jasne i z widokiem na morze. Szkodaby była, gdyby ten stary dom kapitański, miał zupełnie się zapaść!

Ojciec i matka przyznali mu słuszność, ale co robić, kiedy niema pieniędzy.

Syn im powiedział, że pieniądze posiada. Nie były to pieniądze, pochodzące od wychowawców, lecz przez niego rzetelnie zapracowane. Kiedy się udawał do bieguna północnego, została mu przyrzeczona suma tysiąca funtów, którą miał otrzymać po powrocie, i która mu została teraz wypłacona.

Lecz wtem staremu Joelowi, który dotąd ani przez chwilę nie doznał uczucia wstrętu, przeszła przez głowę myśl, że starzy dymisjonowani kapitanowie, którzy wpiery zamieszkiwali wyspę Grim, z obrzydzeniem na ustach poruszyć się musieli w swych grobach.

— Nie, nie temi pieniędzmi! — wykrzyknął. — Zgodziłbym się na odnowienie domu, ale nigdy temi pieniędzmi.

Matka i syn spojrzeli ze zdziwieniem na niego. Oboje zrozumieli, co miał na myśli, i w ten sposób projekt upadł.

W wyobraźni ojca przesuwali się korowód starych kapitanów z ogorzalymi twarzami, osmolonymi rękami i łaknącymi gardłami — dobrotliwych, wesołych, niewybrednych w towarzystwie, a wybrednych w wyrażeniach. Pradziadowie byli ludźmi zupełnie innego pokroju. Nie są dostatecznie godni, by zamieszkać w domu, w którym mieszkali tamci. I powiedział synowi, że pieniądze zapracowane przez niego z narażeniem życia, na tych samych morzach, po których wależali się i zdobywali swoje zarobki starzy, nie są dość szanowne, by zostały użyte na odbudowanie ich starego domu.

Bywało i dawniej, że na twarzy Swena zjawiał się od czasu do czasu pewien szczególnego wyrazu uśmiech, lecz tylko przelotnie, w chwilach, kiedy go prześladowało obrzydzenie. Dawniej przychodził i znikał. Od dziś, gdy się okazało, że i ojciec czuje nie inaczej niż inni, zatrzymał się, jakby na zawsze. Uśmiech pełen łagodności, cierpliwości i wybaczenia.

Ojciec spostrzegł ten uśmiech, a widząc, że z twarzy syna nie znika, wstał i rzucił kilka słów, które miały zatrzeć wrażenie poprzednich, jakie mu się niebacznie wymknęły. Syn odpowiedział łagodnie, lecz uśmiech pozostał.

Ojciec gniewny na siebie samego, że rozjątrzył ranę, zrozumiał, iż syn trzymał w tajemnicy wiadomość o pieniądzach, by móc dziś właśnie nią się podzielić. Wstyd go ogarnął. Nie był w stanie usiedzieć w izbie, wdział czapkę na głowę i wyszedł w ciemny wieczór.

Matka, korzystając z tego, że pozostali sami, powzięła zamiar pomówienia z synem, aby mu wytłumaczyć, jakie uczucia żywi dla niego ojciec.

Zaledwie jednak zdołał Joel zniknąć wśród nocnych ciemności, aż tu siedmiu dzikich, pijanych ludzi wtargnęło do kuchni na wyspie Grim.

Oznajmili, że wybierają się na wesołą wycieczkę i że się przeprawili, by wstąpić po Swena i wziąć go z sobą.

Matka Tola przyjrzała się bliżej kompanji. Stanowili ją członkowie załogi pewnej łodzi — ogólnie znani jako najdziksi, najordynarniejsi pijacy po tej stronie szerów.

Z tyłu za nimi stał młody człowiek, któremu widocznie zależało na tem, by się ukryć za innymi, a był to rodzony jej syn, będący w służbie u jednego z kupców na Knapefjordzie.

Wzrok jej oderwał się od śmiejącej się głupkowato zgrai i spoczął na Swenie, po którego ci tutaj przyszli, aby go obrazić i nad nim się znęcać.

Stał wysoki i smukły, a spojrzenie jego przymrużonych oczu było prawie że pieszczotliwe. Z czystymi, białymi rękami, ogolony, jakże schludnie i łagodnie wyglądał w swem dobrze skrojonym ubraniu. Nie palił, nie pił, nie pluł, żadne prostackie słowo nie splamiło nigdy jego ust. A ci przyszli, ażeby go męczyć, już umęczonego. I zrobili to wcale nie dlatego, ażeby się miał im nie podobać, ponieważ miał lepsze wychowanie, przyjemniejszą przeszłość lub bystrzejszy od nich umysł, lecz jedynie dlatego, że budził w nich wstręt. Uchodził w ich oczach za robaka, którego należało zgnieść — za obrzydliwego gada, który nie miał prawa istnienia w chrześcijańskim domu.

Gdy ci obcy ludzie weszli do izby, dziwne uczucie bezwładu opanowało Swena Elversona. Nie był bliskim omdlenia lub utraty przytomności, ale nie miał siły, by się poruszyć z miejsca i był przekonany, że się zbliża jego ostatnia godzina. Ci oto ludzie byli zesłani, aby go zamęczyć na śmierć, zaś opierać się — czyż warto?

Życie, jakie teraz pędził, nie zasługiwało na wysiłek dlatego, by je móc zachować.

Tego właśnie przedpołudnia, jeden z tych ludzi znalazł na przydrożu skostniałego węża i wziął go do domu, by pokazać towarzyszom.

— Wcale apetyczny, — zauważył jeden.

— Szkoda tylko, że nikt nie ma na niego apetytu.

— Gdyby tak zapytać Swena Elversona z wyspy Grim, tego, który jadł mięso ludzkie?

— Pewnieby mu smakował.

I takie oto było źródło pomysłu wyprawy na wyspę Grim.

Ciemne uczucia szeptały im, że człowiek tak karygodny, jak Swen Elverson, nie powinien obchodzić święta Bożego Narodzenia w spokoju, lecz powinien być właśnie w ten dzień kuszony i dręczony.

Wzięli ze sobą jego brata, jako przewodnika po ciemnej nocy, a brat towarzyszył im niezbyt nawet niechętnie. Był daleko mniej pijany od innych, ale uczucia jego odnośnie do brata nie różniły się wielce od tych, jakie żywili ku niemu jego towarzysze.

Drażniono go nim, wymyślano mu z jego powodu, a on zadawał sobie niejednokrotnie pytanie, jakim prawem wrócił Swen do domu, kiedy rodzeństwo zmuszone było przez niego cierpieć. Stał teraz na uboczu i uśmiechał się szeroko w oczekiwaniu tego, co nastąpi.

— Joelu-Młodszy! Joelu! — krzyknęła matka. — Co oni zamierzają ze Swenem?

A Joel-młodszy odpowiedział bez wahania tak, jak to zwykł czynić, gdy się zwracano do niego tym tonem:

— Chcą go zmusić do zjedzenia węża.

Swena Elversona ogarniał bezwład coraz bardziej. Widział w wyobraźni całą tę scenę, gdy go zmuszać będą do jedzenia, a on się będzie opierał. Jak go będą kopali i bili. A że nie istniała taka siła, któraby go raz jeszcze w życiu zmusić mogła do jedzenia czegoś wstrętnego, więc był przygotowany na to, że z życiem nie ujdzie.

Napastnicy zataczali się od śmiechu.

— Nie bój się o syna, matko Talo, rzekł Olans z wyspy Tor. — Może go sobie posolić i popieprzyć do woli. A dlatego, że zje węża, to przecież nie będzie gorszym potem, niż był przedtem.

— Ha! — zawołała matka, wskazując na stojącego najdalej i najbrzydszego ze wszystkich. — Widzę tam Corfitzsona z Fiskebeku! Tego, co tyle złego narobił w swem życiu — co nawet oborę podпалиł, żeby wyłudzić ubezpieczenie!

— Śpiesz się, mój chłopcze, bierz czapkę na głowę i chodź z nami! — rzekł Corfitzson, kładąc rękę na ramieniu Swena.

Ale matka Tala krzyczała coraz gwałtowniej.

— I ten tu przyszedł — Beril ze Stremssundu?! A wiesz, co to za jeden? Babkę swoją na śmierć zakarmił i po dwóch miesiącach odziedziczył chałupę! — A tamten w kącie to Torsson z Iggenesu, który się niczem nie trudził, jak kradzieżą ryby z cudzej sieci. A tamci dwaj, tacy brzydcy, to Rasmussen i Hjemsfelt. Ci cały swój zarobek przepijają, a żony i dzieci mrą z głodu! Tak bardzo głos podniosła i tak się trzęsła z oburzenia, że mężczyźni pod wpływem tego wybuchu wściekłości przestali się śmiać i zamilkli.

— A czy wiesz, kto tam stoi z tyłu za wszystkimi?! — krzyczała coraz głośniej. — To brat twój, Joel-młodszy. On nie popełnił nic złego, tylko swoich starych bezsilnych rodziców opuścił i pozostawił sa-

mych tutaj wśród szerów. Żadne błagania nie pomogły, nic go nie mogło nakłonić, żeby do nas wrócił. Nie usłuchał! — A teraz, Swenie, już wiesz, co to są za jedni ci, co po ciebie przyszli, i myślę, że z nimi chyba nie pójdziesz!

Ale w tej chwili zobaczyła, że Swen wstał — łagodny i przebaczący i przygotowany na uległość i cierpienie.

Hałastra na nowo wybuchnęła śmiechem. — Masz słuszność, chłopcze, że idziesz dobrowolnie — rzekł Olans, który, jak się zdawało, odgrywał rolę przewodniczącego wyprawy. — Trudno, żebyś się sam jeden opierał sześciu mocnym chłopom.

Lecz matka Tala była z rodzaju tych, co niełatwo dają za wygraną. Musiała wyczerpać wszystko, co leżało w jej mocy, żeby syna powstrzymać. Schwyciła tedy szybkim ruchem węża z ręki Olansa, wrzuciła go do sąsiedniej izby i drzwi zasłoniła sobą.

Wtem otwarły się drzwi od sieni i do izby wpadł Joel.

— Co to wszystko ma znaczyć? Co się tu dzieje? Co to za awantura? Dokąd to chcecie zabrać Swena?!

Ale dwóch chłopów przyskoczyło do matki Tali, żeby ją z przed drzwi usunąć, a dwóch innych schwyciło Swena za ramiona i pchali go ku wyjściu.

Bez wahania rzucił się między nich Joel.

— Puście! Nie ruszać mi Swena! — krzyknął.

Swen Elverson uczuł, że bezwład go opuszcza. Nadszedł właściwy moment.

— Przecież ojciec i matka walczą teraz o ciebie, — szeptał mu głos wewnętrzny.

— Joelu Młodszy! — zawołał do brata, który przez cały ten czas stał z tyłu za pijaną zgrają. — Otwórz drzwi od sieni!

A brat, przywykły do słuchania wszelkiego rozkazu, wydanego w tym domu, otworzył drzwi na oścież, Swen zaś chwycił za pas Olansa z wyspy For. Uniósł go i wyrzucił.

Corfitzson z Fisbeku rzucił się naprzód, chcąc pociągnąć za sobą Swena Elversona, lecz uczuł tylko, że schwyciły go silne ręce, że został rzucony i padł w sieni na towarzysza.

Gdy się to stało, Joel Młodszy stanął u boku brata.

Kilka chwil jeszcze trwała zacięta walka, poczem stara kuchnia pozbyła się nieprzyjaciół.

Joel Młodszy zamknął za nimi drzwi, zbliżył się do brata i podał mu rękę.

— Jakeś ty to zrobił? — rzekł ze szczerem uwielbieniem — musisz mnie nauczyć tego chwytu.

Z zarumienionej od walki twarzy starszego brata znikł łagodny uśmiech.

— Bądź pewien, że teraz i oni są tego zdania, że zuch z ciebie nie bylejaki, — odezwał się Joel Młodszy. — Ale powiedz mi, jak to być może, że posiadając taką siłę, godziłeś się na znoszenie tego wszystkiego w milczeniu? Po co na Imię Boskie było tyle cierpieć? Swena opuściło panowanie nad sobą. Rzucił się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— Po co miałbym się bronić, — wybuchnął, — kiedy sam sobą pogardzam więcej niż ktokolwiek inny? Kiedy się brzydzę więcej siebie samego, niż wszyscy mną! Zaden z was nie wie tak dobrze, jak ja sam, co popełniłem. Sam siebie nienawidzę. Odczuwam odrazę ku sobie samemu. Co mi pomoże, jeżeli nawet zamknę usta kilku pijanym hultajom?

ŁÓDŹ MOTOROWA „NAJADEN”

W kilka dni po Bożem Narodzeniu przyszedł do domu na wyspę Grim Joel-Młodszy z zapytaniem od Olansa z wyspy For, czyby Swen nie chciał wziąć udziału w wyprawie na połów śledzi, którą zamierzają przedsięwziąć towarzysze z motorowej łodzi „Najaden”.

— Olans wątpi, abys się mógł dostać do innej partji — dodał, — ale że jesteś moim bratem, wolę cię ostrzec, iż z Olansem nikt porządny nie jedzie.

Matka orzekła, że przecież mowy być o tem nie może, aby się Swen miał przyłączyć do tej zgrai.

— Nie byłoby to znowu takie bardzo nierozsądne, gdybyś poznał rodzaj rybołówstwa, jaki się uprawia na naszym wybrzeżu, a Joel-Młodszy sądzi, że nie przysłoby ci to z łatwością, ponieważ cię na inną łódź nie przyjmą, — zwrócił się ojciec do Swena.

— To nie może być, abys tak myślał naprawdę — wybuchnęła matka. — Co to można wiedzieć, jakie oni mają zamiary, przysyłając po Swena. Może uknuli jakąś nową nikkzemność.

— Chciałem tylko powiedzieć, że byłaby szkoda gdyby Swen nie wziął udziału w połowie, — dorzucił ojciec, ustępując.

Swenowi Elverson przypomniwały się w tej chwili słowa ojca, wyrzeczone na Boże Narodzenie. A jeżeli chce pozbyć się go z domu?...

— Pokłoń się odemnie Olansowi i podziękuj za zaproszenie, — zwrócił się do brata. — Jestem rad, że chce mnie przyjąć. Wybiorę się na wyspę For możliwie najprędzej.

— Więc zrób to zaraz razem ze mną, — powiedział Joel-Młodszy, — przybory kupisz sobie w moim sklepie. Przyszedł dziś rano telegram, że śledź stoi gęsto koło Smegen. Jutro wyruszą ze wszystkich stron.

Nastała chwila wielkiego pośpiechu, obadwaj bracia wkrótce znikli, a Joel i Tala pozostali znowu samotni.

Minęły dwa tygodnie bez wieści o Swenie, ale pewnej niedzieli zjawił się w domu Joel-Młodszy.

Matka Tala chciała się natychmiast dowiedzieć, jak ludzie z wyspy For postąpili sobie ze Swenem, — czy go, broń Boże, nie zabili.

— Mogę powiedzieć to tylko, co słyszałem o ludzkich gadaninach. Powiadają, że na „Najadenie” znajdował się i taki, co zakarmił na śmierć babkę i taki także, co podpalił, i taki, co całe życie nic nie robił, tylko wykradał rybę z cudzej sieci, i dwaj tacy, którzy się zapijali na śmierć, a że teraz znalazł się jeszcze i taki, co jadł ludzkie mięso, więc się dobrali jak w korcu maku i nie można żądać, aby się na jednej łodzi pomieściło razem więcej zbrodniarzy. Ale co do samego Swena, to jest niewiadomo, czy między nim a towarzyszami wszystko jest w porządku.

— Pleciesz głupstwa, — odparła matka Tala. Gniewała się na pozór, ale w duchu cieszyła się, że się nic złego nie stało. — A pamiętaj, że, jak się tylko dowiesz czego o Swenie, to daj znać. Będzie to największa przysługa, jaką możesz wyświadczyć ojcu i mnie.

Po dwóch tygodniach przyszedł znowu na szery Joel-Młodszy.

— No, przychodzę ci matko powiedzieć, że teraz nikt nie wierzy, aby towarzysze z „Najadenu” mogli dłużej ze Swenem wytrzymać. Mówią, że najgorszy, najbrudniejszy, najbardziej ze wszystkich na szerach cuchnący statek został odnowiony, wyszorowany, że motor przestał strajkować wtedy, kiedy jest koniecznie potrzebny, że płótno żaglowe, które podnosili, by popędzać łódkę, zostało wyreperowane kwadratowymi łatami, że na miejsce wyblakłej chorągiewki jest teraz nowa, jaskrawa, że brzegi szyldu zostały wyzłocone, a sam napis „Najaden” świeżo odmalowany, tak że nie brak ani jednej litery — że załoga zaczyna jadać potrawy takie, jakie się miewa na lądzie, a rondle i talerze w kajucie błyszczą. Słyszysz, matko, powiadają, że załoga „Najadenu” może wytrzymać z ludożercą, ale z czystymi półmiskami i talerzami to się chyba nigdy nie pogodzi.

— Kpinkujesz sobie, — rzekła matka, ale syn widział, że była zadowolona z wiadomości, jakie jej przyniósł, — lecz pamiętaj, że jak się tylko czegoś dowiesz o swoim bracie Swenie, abys zaraz dał nam znać. Przecież on nie popełnił nic złego, a my musimy baczyć, żeby go nie spotkało jakieś nieszczęście.

Kto mieszka na wyspie Grim, musi posiadać zapas cierpliwości.

Znowu całe dwa tygodnie czekała matka Tala, zanim Joel-Młodszy przyniósł nowiny.

— Co prawda, to i tym razem nie spotkałem się z samym Swenem, — rzekł, przyszedłszy, — ale mówią, że chyba Swen dłużej z towarzyszami z „Najadenu” w zgodzie żyć nie będzie. Olans, który jest przewodniczącym na jachcie, zaczął nalegać, żeby się załoga wczas zjawiała na pokładzie, i podobno, że udało się im już kilka razy wypłynąć razem z całą żegluga, dotrzeć do miejsca połowu i zająć wygodne stanowisko. To też osiągnęli, mówią, dobry połow.

Ale, kiedy sieci są w porządku i w zupełnie dobrym stanie, nie zgniłe, tak że się nie rwą wtedy, gdy są pełne ryby, a ten, który ma je wciągnąć do łodzi, nie jest pijany na zabój, i cała zdobycz nie wpada napowrót do wody w chwili, kiedy się znaduje na krawędzi statku — kiedy zarabiają pieniądze na motorowcu „Najaden”, nikt nie uwierzy, żeby Olans z wyspy For, Corfitzson z Fisbeku i Bertil ze Stremsundu i Torsson z Iggenessu i Rasumssen i Hjemfelt mogli się z tem oswoić. Co innego przyjąć do swego towarzystwa ludożercę, ale któż widział mieć czystą łódź, prowadzić jak należy rybołówstwo i dobrze zarabiać? — Z takim stanem rzeczy trudno się pogodzić.

— Jak ty to znakomicie opowiadasz, — odezwała się matka Tala. Była bezgranicznie zadowolona i mówiła, że i w nią zaczyna wstępować otucha. Może się jeszcze wszystko dobrze ułoży dla Swena, i może ludzie zaczną go wreszcie tolerować.

— To, co on ma na sumieniu, — rzekł Joel, — jest pojęciem tak głęboko wrośniętem w mózgi ludzkie, że trudno się wiele spodziewać. Zwycięstwo nie będzie łatwe. Bodajby się tylko udało tak sprawami pokierować, żeby on sam nad sobą panowania nie stracił, a i to będzie wiele.

Po paru tygodniach wrócili obaj bracia do domu. Fizjonomje ich wyrażały wielkie przygnębienie, gdy weszli do izby na wyspie Grim.

Rodzice o nic nie pytali Swena, ale matka tak to urządziła, że znalazła się wkrótce sam na sam z Joelem-Młodszym.

— Na Imię Boskie, mów, co się stało!

Joel był zachmurzony i gniewny. — Co to pomoże, że Olans i Corfitzson i tamci wszyscy chcieliby żyć inaczej niż dotychczas i jacht odnowić i rybołówstwo porządnie prowadzić i pieniądze oszczędzać, skoro, gdy zajdą do domów, zastają płaczące żony.

Kobiety dowodzą, że wola, aby mężowie byli takimi jak dawniej, niż żeby mieli przebywać z takim grzesznikiem, jak Swen. Co oni mają począć, jeżeli słyszą od żon, że wstręt, jaki budzi w kobietach Swen, przenosi się na nich, którzy z nim dzień w dzień obcuja. Baby mówią, że je nic nie obchodzi ani polepszenie bytu, ani nowy żaglowiec, ani materjały na suknie, jedzenie, honory, powodzenie i szczęście. Wszystko to gotowe ofiarować, byleby się tylko pozbyć tego wstrętu. — Więc co począć, kiedy tak rzeczy stoja? To też towarzysze zwrócili się do Swena i prosili go, żeby z jachtu ustąpił, i radzili mu, żeby pozostał w domu na wyspie Grim, gdzie się z nim nikt nie spotyka i nikt niema z nim styczności.

DOM SZKOLNY

Tej samej wiosny, wkrótce po powrocie syna z połowu na śledzie, zapytał proboszcz z Applum Joela Elversona, czy nie mógłby się podjąć budowy szkoły.

Kilka przedsiębiorstw budowlanych dla gminy, jakich w swoim czasie podjął się był Joel Elverson prawie bez żadnego dla siebie zysku, wypadły bardzo tanio. Temu więc prawdopodobnie należało przypisać, iż się do niego zwrócono teraz, jakkolwiek zdaniem niejednego z członków gminy, był właściwie za starym, by podejmować tego rodzaju pracę.

Matka Tala orzekła, że zajęcie zbyt było odpowiedzialne i mozolne dla Joela, a i on temu z początku nie przeczył. Wkrótce jednak zaczął przebąkiwać, że umowa z nowym przedsiębiorcą może przynieść okęgowi niejedną trudność, i dawał do zrozumienia, że byłby jednakże rad, gdyby się mógł przyczynić do postawienia takiego budynku szkolnego, któryby zastąpił stary, ponury, pełen przeciągów, w jakim działwa musiała się gnieździć do tej pory.

— Gdybyś widziała projekt, — powiedział do żony, — byłabyś zdziwiona, co to za rozmaite udogodnienia wymyśla się teraz. Za naszych czasów nie mieliśmy o takich rzeczach pojęcia.

— Widzę, że masz wielką ochotę na tę budowę, i jeszcze może wyjdzie na jaw, żeś już dał przyrzeczenie.

— Możebym nie powinien był tego uczynić, gdybym nie miał dorosłego syna.

— Myślę, że chyba najpierw trzeba było jego zapytać, — odparła matka Tala.

Przedsiębiorczość męża mocno ją dziwiła. Syn w ostatnich czasach tak był przygnębiony, że wyglądało na niepodobieństwo, by dał się skłonić do zajęcia się czemskolwiek.

— Przypuszczam, że Swen nie będzie żałował, o ile się cokolwiek wdroy w ten rodzaj zajęcia. Dobrze to w każdym razie znać się trochę na mularce i zakładaniu fundamentów, kiedy się mieszka w własnym domu. Ale oczywiście, że musiałbym odmówić, gdyby mi nie chciał pomagać.

— Zdaje mi się, że możesz to uczynić z góry, — zakończyła rozmowę żona.

Dziwiła się, że Joel zamierzał nakłaniać syna do brania udziału w zajęciu, skoro budowa miała stanąć na płaszczyźnie kościelnej. Sądziła, że w tym właśnie miejscu będzie jeszcze niechętniej widziany, niż gdzieindziej.

Syn był obecny podczas rozmowy, lecz milczał. Wiedział, że jedyną myślą i marzeniem Joela było wciągnięcie go między ludzi, i oceniał te usiłowania.

O wydarzeniach na „Najadnie“, zakończonych takim niepowodzeniem, wyraził się pewnego dnia ojciec, że to był postęp w życiu Swena, jakiego nie można było wcale oczekiwać, i chwalił go zawsze najpiękniejszymi słowami.

Swen niczego wprawdzie tak bardzo nie pragnął, jak tego, by go pozostawiono w domowym ustroniu, ale miał wrażenie, że ojciec na to nie pozwoli, dopóki się po raz wtóry nie przekona, że to niemożliwe, aby ludzie zapomnieli o wstępie jaki towarzyszył synowi.

— Niech ojciec nie odmawia, — odezwał się nakoniec. — Postaram się mu dopomagać, o ile to będzie tylko w mojej mocy.

Joel był mocno uradowany odpowiedzią i zaraz tego samego dnia wybrał się na wędrowkę do składu desek, do mularza, kamieniarza i majstra od zakładania fundamentów.

Nieomal że wbrew własnej woli, nabral Swen Elverson zainteresowania dla robót budowlanych, i ojciec porucił mu całe kierownictwo. Miał nietylko pilnować wykonania samej roboty, ale także decydować, jak ma być postawiony budynek.

Wyspa Grim leży dość daleko na morzu, i Swen, nie chcąc tracić czasu na jazdy tam i z powrotem, pozostał na równinie kościelnej do końca trwania robót. A że staremu Joelowi sprzykrzyło się ciągle przeprowadzanie się do Applum, więc kilka tygodni pozostał w domu na wyspie Grim, poruczywszy synowi możliwie najlepsze przeprowadzenie tego, do czego się zobowiązali.

Kiedy od czasu do czasu zaglądał na budowę, przybywał zawsze do domu w dobrym humorze. Żona, ilekroć wracał z podróży, wypytywała go z niepokojem, czy też niema niezadowolenia w Applum z powodu, że to syn robotami kieruje. Lecz przynosił jej tylko dobre wiadomości.

— Spotkałem wczoraj Izraela Jensson, który, jak wiesz, jest prezesem gminy, — powiedział jej pewnego razu. — Zapytałem go, co sądzi o budowie. „Nie przeczę, — rzekł mi, — żeśmy się długo zastanawiali w Applum, czy to dobrze, żeście poruczyli robotę waszemu synowi. Przypuszczam jednak, że teraz ani rada szkolna, ani rada komunalna, ani wogóle żaden urząd w okręgu nie wyrugowałyby Swena, kiedy widzą, że daje cokol z granitu, miast ze zwykłego kamienia, i ściany murowane, zamiast drewnianych, jak to

było przewidziane w kosztorysie. Nie pozostaje więc nic innego, jak schować niechęć do kieszeni, a dać folę rozumowi”.

Matka pojęła wreszcie, dlaczego mąż wziął na siebie przedsiębiorstwo i że uczynił to jedynie dla tego, aby dać synowi sposobność do wyróżnienia się i zjednania sobie przyjaciół. Zamiar był oczywiście dobry, ale i teraz jeszcze nie dowierzała, aby próba mogła być uwieńczona powodzeniem.

Gdy następnego razu Joel wrócił z Applum, pierwszym jej pytaniem było, czy Swen jeszcze nie stracił odwagi i czy ludzie nie dają mu odczuć niechęci, jaką ich do siebie natchnął.

— Możebyś nie polegała na mojem zdaniu, wołę ci więc powtórzyć dosłownie to, co mi powiedział Gunar Markusson, ten co mieszka tuż przy budowie, iakeśmy się spotkali wczoraj po południu na placu. „Muszę się przyznać, Joelu, że było trochę niepokoju w gminie z tego powodu, że to Swen Elverson kieruje budową, — powiedział do mnie. — Lecz to pewna, że my, którzy ponosimy koszty, będziemy teraz hamowali nasze uczucia względem Swena, który się okazuje takim dobrodziejem. Pokrywa dom obrobionemi deskami, mimo że było postanowione, że wystarczą nieheblowane; ma przytem zamiar malować farbą olejną, jakkolwiek projektowana była zzwkła czerwona; dach będzie z dachówek, chociaż architekt myślał, że wystarczy, jak będzie z papy; no i u wejścia stawia schody kamienne, zamiast cementowych. Wasz syn należy do rzędu takich ludzi, co to uważają, że wszystko powinno być w najlepszym gatunku, ale przy tem nie żąda wcale więcej, niż wyznaczone było w kosztorysie”.

Joel pojechał znowu na budowę dopiero we wrześniu. Bawił tam kilka dni i powrócił razem z synem. Przywiózł wiadomość, że roboty są zupełnie ukończo-

ne. Dom oglądała komisja i nie miała dość słów na wyrażenie zadowolenia.

Matka Tala zgodziła się na to, że wszystko jest dobrze i w porządku. Zrozumiała, że syn, choć wygląda jak ktoś, kto wyszedł z więzienia, odczuwa jednakże, że uzyskał odrobinę czci i uznania.

Nie chciała też zakłócać jego radości, ale jak tylko została sam na sam z Joelem, zapytała się go, czy też naprawdę nie znalazł się nikt taki w Applum, który dał do odczucia Swenowi, że nie był dostatecznie godnym, aby wykonać tę pracę.

— Trudno wiedzieć, co sobie myślą po cichu — odpowiedział jej Joel, — mogę ci tylko powtórzyć to, co słyszałem od nauczyciela, z którym rozmawiałem po poświęceniu szkoły: „Nie można nigdy rachować na wdzięczność ludzką, — rzekł, — ale gdybym był ojcem dzieci, które otrzymają wychowanie w nowej szkole, nie mógłbym nigdy okazać budowniczemu najmniejszej niechęci. Gdy się widzi tak dobrze urządzoną salę szkolną, te pięknie dobrane barwy, ławki, te jasne szyby, na jakie się zdobył — kiedy się ogląda da te wszystkie przyrządy w sali slöjdu, sprzęty w kuchni szkolnej i przyrządy w sali gimnastycznej, i gdy się doda do tego centralne ogrzewanie i tyle innych szczegółów, które obmyślił, to trzeba przyznać, że tylko prawdziwy przyjaciel dzieci mógł taki dom wybudować. Myślę, że wielu z nas chciałoby powrócić do wieku dziecięcego, żeby się kształcić w szkole, budowanej przez Swena Elversona”.

Słyszac to wszystko, matka Tala nie mogła się nie cieszyć, że obawy jej okazały się płonne.

PAGÓRKI

Swen Elverson wracał z Geteborga, gdzie załatwiał wypłaty za materiały, dostarczone do budowy szkoły. Przyjechawszy pociągiem do ostatniej stacji przed Applum, nie zastał koni, które go miały oczekiwać. Do Applum było jeszcze około dwóch mil^{*)}. Stał bezradny, nie mając na razie pojęcia, jak się dostanie do domu, gdy wtem dwukonna dorożka zajęła przed peron. Objaśniono go, że należała do właściciela zajazdu w Applum i że miała zabrać tamtejszego proboszcza, wracającego po ślubie ze swą młodą małżonką, córką pastora z jakiejś miejscowości na północy.

Swen Elverson oczekiwał koni również stamtąd; widocznie więc zamówienie, które wysłał z Geteborga, nie doszło miejsca przeznaczenia, i konie po niego nie zostały wysłane. Dorożkarz podsunął mu myśl, by prosił proboszcza o pozwolenie usadowienia się na koźle, ale on nie miał po temu śmiałości w obawie, że mógłby się wydać natrętnym.

Podczas gdy rozmawiali, wyszli ze stacji młodzi państwo.

Piękna to była para. On około lat trzydziestu, silnych kształtów, średniego wzrostu, miał piękną głowę o ładnym czole i regularnych rysach, czarną, peł-

^{*)} Mila = 10 kilometrów.

ną brodę, świeżą cerę, białe zęby. Żadna młoda dziewczyna, nie pragnęłaby chyba mieć u swego boku człowieka, lepiej wyobrażającego kogoś zdolnego jej strzec i bronić, pracować dla niej i dać jej odpowiednie stanowisko w świecie. Ona zaś była nieoczekiwanie piękna.

Swenowi przypomniała typy kobiece, jakie widywał na płótnach słynnych angielskich malarzy — owe urocze smukłe postacie o spadzistych ramionach, głowy obciążone bogactwem włosów, pięknie ocienianych oblicze, proste brwi, delikatne rysy i niezmiernie z tronów niebieskich schodzące spojrzenie w promiennych oczach.

Po chwili przypatrywania się obojgu tym ludziom, pierwsze wrażenie, jakiego doznał Swen, ustąpiło miejsca zgoła innemu. Mąż wydał mu się osobistością mało pociągającą. Delikatne kształty i miękkie barwy kobiecego zjawiska czyniły go przy niej grubym, ociężałym, nieomal brzydkim.

— Czy to podszept starej nienawiści, która tkwi może we mnie od ostatniej bytności w kościele, czy też naprawdę ten człowiek nie wygląda wcale na odpowiedniego męża dla tej powiewnej istoty, — zastanawiał się Swen.

Kiedy młodzi małżonkowie zbliżyli się do dorożki, Swen Elverson się cofnął, lecz słyszał, że dorożkarz prosił o miejsce dla niego na koźle. Proboszcz przystąpił do Swena i prosił, by jechał z nimi.

Trzeba przyznać, że proboszcz okazywał mu zawsze dużo uprzejmości, i teraz, gdy siedział na koźle toczącej się naprzód dorożki, starał się stłumić poprzednio doznane wrażenie.

— Zdaje mi się, że się omyliłem, co mi się zresztą dosyć często zdarza. Ależ przeciwnie! To są fizjonomie ludzi bardzo szczęśliwych! Dawno już nie miałem sposobności widzieć podobnych. Są zresztą wszel-

kie po temu dane. On myśli niezawodnie o tem, jak to inaczej zupełnie będzie na małej applumskiej plebanijce, gdy ją młoda kobieta napełni życiem i wesołością, a ona ze swej strony — o staraniach, jakie poświęci, by domowe ognisko przez nią stworzone, zrobić tak miłym, pociągającym, ażeby mąż z przykrością je opuszczał i zawsze doń tęsknił, gdy będzie zdaleka.

Swen Elverson jechał zatopiony w swych myślach. Ocknął się, usłyszawszy, jak młoda kobieta odezwała się do męża głosem, jakby zmęczonym i niecierpliwym zarazem.

— Czyż im nigdy nie będzie końca?

— Cóż to się miało skończyć na życzenie tej młodej kobiety? Co mogło jej nie zadawać w taki dzień, jakim był dla niej dzisiejszy?

Swen Elverson obejrzał się dokoła i zrozumiał od razu, że to chodziło o pagórki. Okolica, po której się ciągnęła, a raczej kręciła droga, była w samej rzeczy bardzo dziwna. Nie można było nazwać jej górzystą, ponieważ nie było widać nietylko górskiego pasma, ale nawet żadnego szczytu, lecz nie można było również nazwać jej płaską, gdyż cały grunt usiany był małemi wzgórzami. To stały tak blisko siebie, że droga z trudnością przeciskała się między niemi, to były znowu tak rozstawione, że było wśród nich miejsce na uprawne pola i dróżki. Ciągnęły się i na prawo i na lewo, i z przodu i z tyłu, i Swen Elverson musiał przyznać słuszność młodej kobiecie, że jej się mogło zdawać, iż koniec im nigdy nie będzie. Droga prześlizgiwała się między pagórkami, lecz ani razu nie wiodła pod górę, na jakąś wyżynę, z której możnaby mieć trochę widoku. Jechało się i jechało, mijało pagórek za pagórkami, z których niektóre porośnięte były trawą lub były nagie, albo, jako całe urozmaicenie, pokryte wrzosem. Niekiedy rozświetlało się między pagórkami, i zdawało się, że się niezadługo wyjedzie na otwarte miej-

sce, lecz zaledwie zdołano o tem pomyśleć, nasuwał się nowy pagórek i stawał pośrodku otwierającej się przestrzeni.

— Jaka szkoda, że te ponure, brzydkie pagórki witają pierwsze w prowincji Bochus tę piękną, młoda kobietę, — zauważył w duchu Swen.

I w tej samej chwili usłyszał, jak rzekła do męża, że ma wrażenie, jak gdyby się zabłąkała w najciemniejszym lesie.

W jednym miejscu pasło się stado owiec, w innym parę krów, a nieopodal kilkoro dzieci zbierało jagody.

— Och, jakże to dobrze, — odezwała się do męża, że napotkałam jakieś żyjące istoty, inaczej trudno by uwierzyć, że się jest w chrześcijańskim kraju.

— Ależ, Sigrun, — odpowiedział na to mąż, — nie pomyślałaś chyba, że to są strony moje, i że kocham tu każdy kamień i każdą kępkę wrzosu. Cobysy na to powiedziała, gdybym przyjechał do ciebie i skarżył się na lasy świerkowe i wyręby po sosnowych borach na północy?

Te słowa, oczywiście, nie pozostały bez wpływu. Młoda kobieta milczała przez czas dłuższy, potem zaczęła coś szeptać ze łzami w głosie, i Swen Elverson zrozumiał, że była to prośba o wybaczenie za to, że się tak ubliżająco wyraziła o prowincji Bochus.

— Zapewniam cię, że nie zawsze jestem taką jak dziś. Nie wiem, co mi się stało, — rzekła z pokorą.

Z każdego jej słowa, wyszeptanego słabym, słodkim głosem, przebijała szczerść i powaga, i wiał jakiś szczególniejszy czar.

— Boże mój, — pomyślał Swen, — mojem zdaniem, dobrze, że jest taką właśnie, i pięknie to, że się boi tego, co brzydkie.

Nastąpiło znowu milczenie, poczem młoda kobieta zwróciła się do męża, szepcząc swoim słicznym głosem:

— Wybacz, Edwardzie, rozumiem, że cię męczę i czynię sobie z tego powodu wyrzuty. Ale czy to moja wina, jeżeli się boję? Tylko teraz myślę sobie, że nie powinnam się bać, skoro nie jestem sama i mam ciebie. Przecież ty będziesz mi zawsze pomocnym, ilekroć będę tego potrzebowała.

Głosik jej był tak błagalny, że Swenowi zrobiło się nieprzyjemnie, iż okoliczności postawiły go w roli mimowolnego słuchacza. Nie czuł się godnym, by dzielić myśli i uczucia tej młodej kobiety.

A ona bała się ciągle. To miała przywidzenia, że ktoś leżał zaczajony za jednym z pagórków, by na nich napaść, to znowu zdawało się jej, że była już kiedyś w tych stronach, zagnana prześladowaniem jakiegoś zbrodniczego osobnika, to zapewniała o przeżyciach, które ją gnębią, iż będzie kiedyś prześladowaną i zmuszoną szukać schronienia wśród tych pagórków. Coś ją straszło. Chciałaby wyjść z dorożki i uciec.

Po głosie poznać było, że uczucie bojaźni, jakiego doznawała, było silniejsze, niżby to chciała okazać.

Swen Elverson nie rozumiał tego i uśmiechał się do siebie, a i mąż nie mógł tego pojąć, że mogła być taka zatruwiona, bez żadnego po temu powodu, i starał się odpowiadać jej żartobliwie i wesoło.

Ale ona czuła się dotknięta jego tonem i wreszcie nieoczekiwanie wybuchnęła, że jeżeli jest tak samo zimno i ciasno w Applum, gdzie mają mieszkać, to ona nie będzie mogła tam pozostać.

— Jest to brzydko i głupio z mej strony, że dziś tak do ciebie mówię. — rzekła. — Ale myślałam przez cały ten czas podróży między pagórkami, że jeżeli w Applum niema nic piękniejszego do zobaczenia —

czegoś, co byłoby w stanie mię pocieszyć, to ten sam strach będzie mnie prześladował i tam, i będzie mi się ciągle zdawało, że musi mię spotkać coś złego.

A Swenowi Elverson stanął przed oczami obraz płaszczyzny kościelnej w Applum, gdzie plebanja stała celowo po za kościołem w zagłębieniu, które miało ją chronić od miejscowych wiatrów, i zapytywał siebie, czy ją zadowolą te półka jednakowej wielkości, mur wzgórz, zasłaniających widok, wąski horyzont i czerwone, białe i niebieskie budynki na równinie pozabawionej drzew.

— Nie chciałbym być teraz w położeniu proboszcza, — myślał Swen. — Nie miałbym pojęcia, co uczynić, co powiedzieć, by ją zadowolić. Ale on ją zna i kocha, a to co innego.

Proboszcz siedział cicho i rozmyślał.

— Chciałbym ci opowiedzieć, — przerwał wreszcie milczenie, — sen, jaki miałem tej zimy, który mnie rozweselił, gdy go śniłem. Ciekaw jestem, czy, gdy ci go opowiem, zrobi na tobie samo wrażenie.

Zdawało mi się, że jadę szosą, wiodącą do twego domu w Stenbrutresk, a było to wczesną wiosną, wtedy, gdy ziemia jest jeszcze chłodna, a drzewa nagie. Drogi były rozmokłe, w mostach dziury, a koń taki mizerny, że ledwie się włókł.

Z północy wiał zimny, przejmujący wiatr. Kilka dworców, jakie spotkałem po drodze, wydały mi się biedne i ponure, wszystko dokoła szare i brzydkie, i całość krajobrazu poprostu przygnębiająca.

Ale koniec końcem wyjechałem na wzgórek, z którego ujrzałem wybrzeża rzeki, kościół w Stenbrutresk i plebanję. I oto nagle wszystko się zmieniło. Owionęło mnie ciepło, ziemia okryła się zielenią, brzozy zasnuły się lekkim welonem, droga zrobiła się stałą i dobrą, a wszystko dokoła piękne, przyjazne i gościnne. Nawet w konia weszło inne życie.

Czułem, że ode mnie zaczęło tchnąć wiosną i ciepłem, że wszystko było odczarowane z tą chwilą, gdy się ogrzało moje serce na widok twojego domu. I nie myślałem bynajmniej we śnie, aby było w tem coś dziwnego. Było tak, jak powinno być.

Proboszcz zatrzymał się i zamilkł, a Swen Elverson dosłyszał, jak żona zapytała go zupełnie zmienionym głosem o ciąg dalszy.

— Dalszego ciągu nie było, — odpowiedział, — gdyż to ciepło serca tak było piękne, że mnie obudziło. — I zamilkł znowu.

Przebłysk piękna w tych słowach miłości, które były do niej zwrócone, przejęły do głębi młodą kobietę, i słuchacz na koźle słyszał, jak zwróciła się do męża głosem, zdławionym wzruszeniem:

— Więc sądzisz, że gdybym posiadała to samo ciepło w sercu, które ty miałaś, widziałabym piękno okolicy nawet w tych brzydkich pagórkach?

Poczem doszedł go głos wesoły i ochoczy:

— Nie martw się o mnie, — rzekła. — Nie odczuwam nic więcej trwożącego, nic mię nie straszy, i czuję to samo, co ty wtedy we śnie.

— Jednakże — pomyślał Swen Elverson, jak to łatwo źle sądzić. Nie mogła, doprawdy, dostać odpowiedniejszego męża, niż proboszcz Rhonge, który ma rozum i serce. Któż mógłby jej dać piękniejszą odpowiedź?

MORZE

Nowożeńcy przyjechali we wtorek. W końcu tygodnia, w sobotę, wybrał się Swen na plebanję celem doręczenia proboszczowi kilku aktów, dotyczących budowy szkoły.

Sobota była dniem przyjęć, więc poszedł, jak zwykle, na pierwsze piętro przez przedpokój do gabinetu. Ale nie było nikogo przy biurku ani też w przyległym pokoju, do którego drzwi były otwarte. Ponieważ zależało mu na tem, by jak najmniej zwracać na siebie uwagi, więc nie chciał pójść do kuchni, ażeby się dowiedzieć, czy proboszcz jest w domu, lecz postanowił zaczekać w przedpokoju.

Ledwie powziął tę myśl, zaczęto rozmawiać w sąsiednim pokoju, od którego drzwi były uchylone, tak, że każde słowo dochodziło go wyraźnie.

— Wiesz, Sigrun, — słychać było spokojny głos proboszcza, — o tej porze przychodzi poczta, ale ja nie mam czasu, oczekuję interesantów; czy nie chciałabyś mnie wyręczyć?

— Mój kochany, — brzmiała wesoła odpowiedź, — ależ to się doskonale składa. Mulina idzie właśnie do sklepu po sprawunki, to zabierze po drodze gazetę.

— Ach, tak — pomyślał Swen, — dlatego wyszedł z gabinetu, żeby jej to powiedzieć. Pewnie zaraz wróci.

Ale proboszcz odezwał się znowu:

— Słuchaj, Sigrun, przez cały ten czas od wtorku padał deszcz. Dziś taka śliczna pogoda, drogi obeschły, więc doprawdy powinnabyś się wybrać sama. Przechadzka napewno zrobi ci dobrze.

— Wierz mi, Edwardzie, że poszłabym jak najchętniej ale, patrz, firanki mam rozrzucone po całym pokoju i nie mogę wyjść, dopóki ich nie zawieszę.

— Teraz to już napewno kwestja załatwiona, — przeszło Swenowi przez głowę. Ale jednocześnie zwrócił jego uwagę głos proboszcza. Właściwie był to głos mężczy o dźwięcznym brzmieniu, a jednak jakże tracił, jak wydawał się surowym i prostackim, gdy się go porównywało z miękkim, łagodnym głosem tej kobiety.

Lecz nadzieja Swena, że się rozmowa między małżonkami szybko skończy, zawiodła go.

Proboszcz nie miał zamiaru ustąpić z placu.

— Czyżby moje wymagania, ażeby księżniczka z Stenbrustresku poszła dla mnie po gazetę, były nie stosowne? — zapytał. Był to oczywiście żart, ale w głosie jego przebijało rozdrażnienie, pochodzące stąd, że się nie chciała zastosować do jego życzeń.

— Nie Edwardzie, — cóż znowu?

— Albo może za brzydko i za smutno tu, w Applum? Pani dobrodziejka nie lubi wychodzić może dlatego, że nie ma dokoła pańskich posiadłości i dworów? Możeby dla pani zamówić powóz i konie, żeby raczyła...?

— Edwardzie! — wykrzyknęła.

— Wiem, że nie istnieje nic, coby się dało porównać ze Stenbrutreskiem, — rzekł proboszcz z uśmiechem trochę złośliwym, — ale myślałem, że zechcesz zaszczycać niekiedy i Applum, depcąc je twoimi stopami.

— Nie mów tak, Edwardzie! — Wierz mi, że wyjść nie jestem w stanie!

— Nie jesteś w stanie? — zapytał bardzo zdziwiony.

Rozmowa prowadzona była w tempie tak żywym, wymiana zdań następowała tak szybko, że Swen nie wiedział, co ma z sobą począć.

„Nie powinienem może tego słuchać”, — myślał. Wię nacisnął klamkę, otworzył i zamknął drzwi, stąpał i kaszłał, pragnąc by zauważono jego obecność, ale nikt nie uczuł się zaniepokojonym, i rozmowa prowadzona była dalej.

— Nie! Nie mogę! — powtarzała młoda kobieta.

— Tu jest coś, co mię dławi i dech zapiera. To nie jest tęsknota za domem rodzicielskim, to coś innego. O ile jestem w domu — wszystko dobrze, ale jak tylko wyjdę za próg, coś się ze mną dzieje dziwnego.

Mówiła gniewnie w rozdrażnieniu. Jąkała się.

— Ależ Sigrun! — rzekł pastor. — Co się z tobą dzieje? Nie miałem złego zamiaru.

— Zarzuciłeś mi, że jestem dumna. Ale tak wcale nie jest. Zapytaj kogo chcesz z tych, co mnie znają, a tego nikt o mnie nie powie. I wcale nie dlatego, że tu jest brzydko... Ja nie wiem, co jest.. Sama tego nie rozumiem... Ale ja nie mogę wyjść.

— Słuchaj mnie Sigrun, — rzekł mąż. Chciałbym, żebyś mi powiedziała, co cię dręczy. Czemkolwiekby to było, powinno być wytepiene gruntownie.

Swen Elverson nie wiedział zupełnie, co począć. Zdawało mu się, że usłyszał za wiele, by móc dać znać o sobie. Był niepewnym tego, jakby właściwie powinien postąpić.

— Nie chciałam ci o tem mówić, — ciągnęła dalej młoda kobieta, i głos jej stał się gniewnym i niecierpliwym, — bo nic ważnego i napada mnie tylko wtedy, gdy wyjdę poza plebanję. Jest to coś nie u-

chwytneho. Tego ani widzieć ani słyszeć nie można, tylko we mnie mi coś szepce, że będę tu ciągle i że tego miejsca nigdy nie opuszczę, i żal mnie jakiś ogarnia. Tak muszą się czuć skazańcy. To nic innego jak przymus pozostawania na tem miejscu takim ciasnym, zamkniętem, jednostajnym, rozpaczliwym!

— Ona pewnie dlatego tak mówi, ażeby usłyszeć znowu coś pięknego od niego, jak wóczas w powozie, przemknęło przez głowę Swena. Ale proboszcz ma głowę i serce, więc pewnie i teraz powiedzie mu się dobrze.

— Żebym miała przed oczami jakiś szerszy widnokrąg! Żebym nie mieszkała w takiej kotlinie! — skarżyła się. Musiałam uczynić coś złego i to za pokutę skazana jestem na mieszkanie tutaj. Czy nie możesz mi powiedzieć czegoś, coby mnie rozweseliło?

— Teraz oczekuje czegoś pięknego, — pomyślał Swen. — Ciekaw jestem, jak on ją teraz pocieszy.

Cała ta scena zainteresowała go mimowoli. Ona miała dla słuchacza prześliczny sposób mówienia, a od proboszcza oczekiwał czegoś podniosłego i nastrojowego.

— Próbowałam kilkakrotnie wyjść z domu, — rzekła. — Ale to silniejsze ode mnie. Nie możesz sobie wyobrazić, co odczuwam. Dławi mnie i ścisza w gardle. Łzy płyną mi z oczu potokiem.

— Oj, Sigrun, — odpowiedział pastor. Przecież nic takiego niema w tamtejszem powietrzu. To tylko rzecz wyobraźni.

— Nie, tu coś nienawistnego zwraca się przeciwko nam i chce odebrać mi szczęście. Wiesz, co robię, żeby sobie ulżyć? Przypatruję się temu brzydkiemu obrazkowi, który mi namalowała jedna z moich kuzynek przed wyjazdem z Stenbrustresku. Śmiałam się z tego arcydzieła, gdy je otrzymałam, a teraz ten wi-

doczek jest moją pociechą. Gdy spojrzę na rzekę i tamtejszą plebanję, zaczyna mi znowu wracać otucha i chęć do życia.

— Obawiam się, czy to nie początek jakiejś ideé fixe, Sigrun.

I proboszcz wpadł w ton nawołującego kaznodziei.

— Sądzę, że powinna być zwalczona zaraz na początku, i dlatego żądam, abys poszła w tej chwili po moją gazetę.

— Ale ja nie mogę! Nie mogę! wołała.

Swen rozumiał, że mąż pragnie być jej pomocnym, ale miał wątpliwości, czy sposób przez niego obrany był właściwy. Oczekiwał czegoś innego. Ale jednocześnie czuł, że niewiedziałyby dobrze, jak postąpić, gdyby się znalazł w takim położeniu.

— Słuchaj, Sigrun, — ciągnął dalej pastor. — Sama dobrze rozumiesz, że takie objawy wymagają, aby się serjo i niezwłocznie zabrać do ich leczenia. Nie należy sobie pobażać. Jesteś młodą i zdrową i przecież nie chciałybyś mi wmówić, że nie możesz przejść tego kawałka drogi. Nie dziw się przeto, jeżeli wygam, abys się opanowała i poszła. Żądam tego w imię naszego wspólnego szczęścia, które ma wystarczyć nie na kilka dni miodowego miesiąca, ale na całe życie.

— Pójdę kiedyindziej, — błagała rozpaczliwie. Czy nie mogę dziś tego uniknąć? Spróbuję za kilka dni. — Jutro.

Swen Elverson stał jeszcze chwilę, zaintrygowany, czy też mąż zgodzi się na odroczenie. Ale wobec tego, że pastor okazał się stanowczym i chciał mieć swą gazetę natychmiast, uczynił to, co powinien był uczynić wcześniej, lecz co skutkiem jego wahania nie wpadło mu wpierw do głowy. Cichutko otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Szedł wolno, dopóki nie wyszedł

za kościół, ale jak tylko spostrzegł, że nie może już być widzianym z plebanji puścił się pędem.

Młoda żona pastora szła po drodze wolno krokiem chwiejnym i potykała się co chwila. Łzy błyszczały na jej rzęsach i wyglądała jak po dopiero co przebytej chorobie. Zaledwie uszła kilkanaście kroków, spostrzegła idącego naprzeciw niej młodego mężczyznę.

Uklonił się jej i przypomniał, że miał zaszczyt jechać z nią ze stacji kolejowej do Applum. Nic na to nie odpowiedziała, tylko spojrzała na niego z takim wyrazem, jakby nie rozumiała, co do niej mówi.

On podał jej gazetę, objaśniając, że był w sklepie, i że kupiec prosił go, aby ją zabrał z sobą dla proboszcza. Mówił z tak wielką nieśmiałością i zażenowaniem, że nie byłaby go rozumiała, nawet, gdyby była przytomną. Wzięła z jego rąk gazetę, lecz szła dalej, nie orjentując się, że jest w posiadaniu tego, po co poszła i że mogłaby już wrócić do domu.

Obcy człowiek szedł za nią. Przepraszał, że ośmiela się radzić. Wie jednakże, że nie jest tutejszą sądział, że byłoby przyjemniej, gdyby wychodząc z domu, kierowała swe kroki w odwrotnym kierunku i pytał, czy nie chciałaby w tak śliczny wieczór jak dzisiejszy zobaczyć morze.

Ona najwidoczniej nie otrząsnęła się jeszcze z wrażenia, jakie na niej uczyniła przykra rozmowa. Była przerażona tem, co ją spotkało, ścisnęło ją i dławiło w gardle. Ale usłyszawszy wyraz „morze”, podniosła na niego oczy i zapytała:

— Alboż tu jest morze w pobliżu?

— Oczywiście, i to bardzo niedaleko. — Gdyby mu nie odmówiła tego zaszczytu i pozwoliła sobie towarzyszyć, ujrzałaby je wkrótce.

Poszedł ścieżką na zachód. Ona szła za nim. Zauważyła, że jest ubrany jak lepszy robotnik i że miał

bardzo miłą ujmującą powierzchowność, ale zachowanie tak pokorne, że aż śmieszne.

Nie zastanawiała się jednak nad tem, czy pójść lub nie, tylko poszła.

Wieczór był niezwykle piękny. Czerwone światło opuszczało się z nieba i nappełniło czerwienią całą przestrzeń dokoła. Miała wrażenie, że w powietrzu latają płatki róży, podobnie jak płatki śniegu, i cała płaszczyzna zaróżowiła się jak rumieniąca się panna młoda.

A gdy doszła do ściany gór, ciągnącej się na wschód, spostrzegła, że nie tworzyła ona jednolitego muru, lecz się składała z oddzielnych, potężnych skalnych odłamów, między którymi było wolne przejście.

I młody robotnik wprowadził ją między skały, gdzie na piasku dojrzała tu i owdzie drobne muszelki.

Obszedłszy dokoła jedną ze skał, przystanąła i odetchnęła głęboko.

Pociągała ją rozpościerająca się przed nią przestrzeń.

Kołysało się czerwone morze powietrzne, a tam bieliło się wodne. Widnokrąg szeroki i wolny dochodził do samego słońca, które w tej chwili kłoniło się na zachodzie.

Nie miała przed sobą ładu, prócz wazkiego paska piasku z długim mostem, a dalej na samem morzu kilka rzędów szerów, które się wynurzały z wody, koloru perłowej masy.

Patrząc na to, zrozumiała, że jest uratowaną. Alboż nie dobrze będzie mieszkać tutaj, gdzie w pobliżu było tyle piękna, które można oglądać codziennie.

Że też nikt jej o tem nie powiedział. Siadła na kamieniu i długo tak pozostała. Wchłaniała w oczy światło, wzrok jej ślizgał się po otwartej przestrzeni i mógł sięgać daleko, daleko. Czuła się jak ptak wy-

puszczony z klatki. I dziękowała Bogu za swe ognisko domowe i za to piękne, szerokie morze w pobliżu.

Siedziała długo, nic nie mówiąc. Gdy wzrok odwróciła, spostrzegła, że robotnika nie było. Była właśnie bardzo z tego zadowolona. Podziękuje mu innym razem. Była rada z samotności.

Czuła się silną i pełną otuchy. Teraz będzie mogła podjąć walkę z niebezpiecznym uczuciem przygnębienia, które ciążyło na tej płaszczyźnie.

Ale wtem przypomniała sobie, że mąż mógłby być niespokojny. Podniosła się, aby mu pójść oznajmić, że się czuje uzdrowiona i szczęśliwa. Będzie mu dziękowała za jego surowość, za to, że ją wysłał, by szła odważnie naprzeciw wroga.

PRZEJAZDZKA PO MORZU

Pewnego niedzielnego październikowego ranka dał silny wiatr południowy — z okolic, gdzie jeszcze nie znikło ciepło, gdzie róże jeszcze kwitły i wypuszczały pąki, gdzie winne grona dopiero co zebrano, i świeży sok kwaśniał na dworskich i wieśniaczych dziedzińcach.

Niepokojące głosy niósł z sobą ten mocny wiatr. Wsłuchując się w nie, doznawało się oszołomienia. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby się słuchało cudzoziemca. Nie wiedziało się, czy chciał opowiadać o wielkich tajemnicach, czy też szeptać o żółkniejących drzewach, opadłych skrzydłach motyli i opustoszałych gniazdkach, które napotykał po drodze.

Tej to niedzieli dowiózł Swen Elverson ojca do przystani pod murem kamiennym w Applum. Ojciec poszedł do kościoła, on zaś zwrócił się na prawo ku pobliskiej skale, leżącej u górskiego podnóża. Znał ją oddawna, jeszcze z lat pacholęcych, kiedy to nieraz spoczywał na jej miękkim posłaniu z wrzosu.

Czasy, które obecnie przeżywał, były najlepsze z wszystkich od chwili, kiedy powrócił do ojczyzny i osiadł w rodzicielskim domu.

Targające jego duszę dotkliwe cierpienia przestały go nękać, i zrezygnowany uśmiech abnegata zniknął powoli z jego twarzy.

Położył się na skalnym występie, słuchał głosów, które niósł wiatr, i zastanawiał się, co mu chciały powiedzieć. Patrząc na wielkie morze przed sobą, przypominał sobie widzenie, jakie miał przed laty, kiedy, tak jak dziś, leżał na tem samem miejscu koło wybrzeża i miał przed oczyma rozpościerające się zwierciadło wodne.

Przymknął był oczy, zmęczone ślizgającym się po wodzie blaskiem słonecznym i leżał tak dość długo, a gdy nagle uchylił powieki i spojrzął w dół ku wielkiej wodzie, ukazała mu się syrena.

Trwało to jedno mgnienie oka. Zjawisko znikło, a śledzący je wzrok widział, jak zamieniało się w płatek mgły, który się uniosł i rozwiął nad wodą?

Bądź co bądź spotkało go coś niezwykłego i to napełniło go radością. Czuł się zadowolonym i szczęśliwym, że ujrzał choć przeblysłk jednego z pięknych widziadeł natury, których pełne są powietrze i morze, a które tak zazdrośnie skrywają się przed ludźmi.

Był przekonany, że nie ta jedna tylko syrena była na wodzie. Zabawiało się ich razem napewno wiele, tylko że znikły, gdy otwierał oczy i tylko ta jedna nie zdążyła tego uczynić dość wcześnie.

Nie mógł nigdy tego zapomnieć. I gdy tak czasami siedział samotny wobec pustynnego morza, na powierzchni którego ani jednej nie można było dostrzec łodzi, lubił przymykać oczy i leżeć długo, cicho, aby przekonać syreny, że śpi, i dodać odwagi do wynurzenia się z głębin. Ale nigdy więcej, prócz tamtego razu nie spotkało go to szczęście, i syreny nigdy więcej nie widział.

Powtórzył próbę i tym razem, jakkolwiek nie łudził się nadzieją. Gdy mu się zdawało, że leży dość długo z przymkniętymi oczami, podniósł je, zaskoczył go widok, wprawdzie nie białego ciała pół-kobiety i pół-

ryby między falami, lecz młodej kobiety, siedzącej na wysokim kamieniu rzuconym wśród wody. W jasnym odzieniu, zrećnie przytulona do samego wierzchołka kamienia, czyniła wrażenie istoty, która pochodzić mogła zarówno z morza jak z ziemi.

Przyjrząwszy się bliżej, nie trudno było zauważyć, że siedząca na kamieniu postać nie była zjawą, daleką od trosk ziemskich. Wycierała raz po raz oczy chustką, i jasną stawało się rzeczą, że była to nieszczęśliwa istota rodu człowieczego, która cierpiała i roniła łzy.

Swen Elverson patrząc na nią, zadawał sobie pytanie, co też za troska mogła ją gnębić. Pragnąłby wiedzieć, czy to może brzydkie pagórki lub otaczające pasma górskie tak ją straszły, że zamiast pójść do kościoła, siedziała tutaj smutna i pałcząca koło morską wybrzeża.

Widział jak jej delikatne ciało drgało, gdy zanośsiła się od płaczu, i z całego jej zachowania nie trudno było wnioskować, że nieszczęście, które ją dotykało, było bardzo głębokie. Zrozumiał, że przyszła ku morzu, by zacerpnąć odeń pociechy, ponieważ nie miała nikogo innego do kogo by się w swem zmartwieciu zwrócić mogła.

Ale tym razem morze pocieszyć jej nie umiało. Młoda kobieta usłyszała wkrótce słaby szelest za sobą i zobaczyła, że jakiś młody mężczyzna spuszczał się w dół ze skalnego zrębu. Zdawało się jej, że to ten sam młody robotnik, który jej kilka tygodni temu pokazał morze. Więc skorzysta z tego spotkania i podziękuje mu dzisiaj. Wytarła śpiesznie oczy i podszła ku niemu.

— Zobaczyłem, że pani tu siedzi, — zaczął młody człowiek — i pozwoliłem sobie zbliżyć się do niej. Łódź moja jest blisko, prosta wprawdzie, bynajmniej

nie elegancka, ale mimo to jest dobrą żaglówką. Czy mógłbym dostąpić tego zaszczytu?... Czy mógłbym panią zaprosić na przejażdżkę?

Innym razem nie byłaby przyjęła zaproszenia. Ale w tej chwili była za bardzo wdzięczną za najmniejszą uprzejmość, by mogła odmówić. Nie chciała zresztą, by ten młody robotnik mógł ją posądzić, że odmówiła dlatego, iż łódka była zwykłą, niemalowaną i niekrytą łodzią rybacką lub dlatego, że on nie był dość dobrze ubrany i miał na sobie wysokie buty, jakich używają na morzu, i prostą grubą kurtkę, choć kamizelka była zdobna — w formie starożytnej królewskiej przyłbicy.

Odczepił łódkę, podniósł duży żagiel, i silny wiatr popchnął ją w bok. Lecz on trzymał ster mocno i kierując prosto na wschód wypłynął na otwarte morze.

Młoda żona pastora, bo nie trudno się domyśleć, że to była ona, nie wybrała się była bynajmniej na przejażdżkę i nie oczekiwała żadnej przyjemności. Nie przypuszczała, aby się znalazło coś, coby ją mogło rozzerwać i złagodzić wielką zgryzotę, która ją trapiła tego ranka. Ale kiedy płynęła tak przez chwilę, obieg jej krwi stał się niezależnie od niej, żywszym, i zaczęła odczuwać, że tłoczące ją brzemię staje się lżejszem.

Dzień był słoneczny, niebo jasne i tylko kilka białych baranków sunęło po niem zwolna. Lecz choć powietrze było niezwykle przejrzyste, dość było w niem jednak nagromadzonej wilgoci, załamującej światło, by te suche i gołe szery i wysepki ubarwić na szarofioletowy, czerwony lub niebiesko-szary kolor. W tem oświetleniu wydawały się większe i wzniesione wyżej, tak że niskie szare skały wynurzały się z wody i występowały z wspaniałością, mocą i majestatem.

Wszystkie szczeliny wydawały się głębokie i czarne, a przepaści wyolbrzymione. Odcinały się odstepy między górami i jedno pasmo stało wyraźnie za drugim, otaczając się coraz to miększymi, delikatniejszymi tonami barw.

Wzrok młodej pani przybrał zwolna wyraz spokoju. Z oczu wyczierała nabożność i zapytanie, w końcu złożyła ręce na swem łonie jak do modlitwy ku temu pięknu, które ją otaczało.

Przez chwilę nawet miała złudzenie, że poznała jeden z cudów bożych. Poznała morze dokładnie dziś dopiero. Wprzód nie miała pojęcia, jak się to czuje w jego pobliżu. Teraz słyszała jego tchnienie szumiące w uszach, patrzyła w jego mieniące się lico, leżała na kołyszącej się jego piersi, a ono jej do snu śpiewało.

Swen Elverson wykręcił ster i skierował ku północy. Łódka ślizgała się pomiędzy szeregami u stóp chropowatych ścian górskich, i widać było małe chałupki rybackie, pomiędzy wysokimi gruszkami obciążonemi czerwono-brązowym owocem, a między szczelinami łączki o zieleni tak mocnej i soczystej jak podczas najłaskawszej wiosny.

Woził ją z cieśniny do cieśniny. Napotykali białe parostatki i ciężko obciążone berlinki i lekkie łodzie żaglowe, które muskały wodę wolne, niezależne jak płynące motyle.

Swena cieszyło morze, łodzie, chałupki i gruszki. Cieszył się, że młoda kobieta je widzi w ich najpiękniejszej krasie. Musiały wiedzieć, że ona nadewszystko kochała piękno.

Ale i ze Swenem działo się coś podobnego jak ze szeregami i morzem. Wydawał się korzystniej niż zwykle.

Rozmawiali najpierw o pogodzie i o tem, co ich otaczało, a było tak piękne, a on uczył ją nazw wszystkich skał i wysepek, dokoła których przejeżdżali. Stopniowo przeszli na inne tematy i rozmawiali o wszystkim, co istniało, o nowych i dawnych rzeczach, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi.

Pokora i dzikość, które go dawniej krępowały, opuściły go zupełnie, mówił naturalnie i swobodnie, a ona zastanawiała się nad tem, że jednakże młodzi ludzie, którzy wyrastali wśród szerów i zawczasu udawali się na morze i zwiedzali obce kraje, nabywali łatwiej innego wykształcenia a niżeli ci, którzy stale pozostawali na lądzie.

Nabrała do niego wielkiego zaufania. Był skromny, mądry i subtelny. Chciałaby go lepiej poznać, dowiedzieć się kim był, i zbadać, czy mogłaby mieć w nim doradcę w takich chwilach, gdy przyjdzie jej borykać się z trudnościami.

Co się tyczyło Swena, to napadła go podczas rozmowy wielka ochota wypowiedziania się ze swej zbrodni przed tą niewinną, nieznaną grzechu istotą.

Myślał o ludziach, którzy mu ją wytykali i potępiali go, choć sami nie byli wolni od błędów i grzechów. Czyż był między nimi jeden chociażby, który by choć raz nie oszukał lub skłamał, a może nawet ukradł, któryby nie był zarozumiałym, nielitościwym, ze wziętym czy mściwym.

Ale ta młoda córka pastora żyła życiem cichem i spokojnem. Nie splamiła jej ani namiętność ani požądanie. Nie posiadała dotychczas głębszego doświadczenia w dziedzinie swojej lub cudzej niemoralności. Nie żywiła złych myśli i nigdy nie chciała nikomu zaszkodzić.

Nie mógł oczekiwać od niej łagodnego sądu. Posiadając nadmiar uczuciowości, nie byłaby wstanie o-

panować wzburzenia wobec tego, co nie odpowiadało jej pojęciom.

Pomimo to chciał się poddać wyrokowi. Miała być jego najwyższą instancją. Nie mógł iść do króla z żądaniem sprawiedliwego sądu, ale może pójść do niej.

Będąc nieśmiałym i wahającym się, jak zwykle, walczył z sobą, zauważył, że i ona zamilkła, jakgdyby pragnęła coś powiedzieć, co jej jednakże przychodziło z trudem.

Ostatecznie zdecydowała się i przystąpiła wprost do rzeczy.

— Pan mnie widział, jak siedziałam na kamieniu i płakałam przedtem, zanim pan podszedł do mnie?

— Tak, nie mogę temu zaprzeczyć.

— Co prawda, powodem moich łez nie było jakieś większe zmartwienie, — rzekła. Otrzymałam list od przyjaciółki. Bogata córka rolnika wyszła niedawno zamąż za człowieka bardzo zamożnego i dobrego. I jej i nam wszystkim zdawało się, że będzie nad wyraz szczęśliwą!

— A teraz okazuje się, że się te nadzieje bynajmniej nie spełniły, — wtrącił Swen i położył obie ręce na sterze, pochylając się ku niej, jak się zdawało, wielce zainteresowany, losami przyjaciółki młodej kobiety.

— Nie, — odparła i spojrzała w dał, jak gdyby chciała uniknąć jego wzroku. — Nie jest szczęśliwą. Pisze mi, że mąż jest z niej ciągle niezadowolony, a ona nie rozumie dlaczego. Pyta mię, czy nie mogłabym jej tego wytłumaczyć. Ale ja tego nie potrafię, a takbym chciała jej dopomóc!

— Pan rozumie, że mię to mogło zasmucić, i dlatego płakałam.

— Owszem rozumiem dobrze, — rzekł Swen, — ale czy nie byłoby to najlepiej, gdyby się pani zwró-

ciła z tem do pana Rhonge, który jest człowiekiem doświadczonym.

Zarumieniła się i rzuciła na niego bystre, trochę podejrzliwe spojrzenie. Ale zobaczywszy jego oczy, które spotkały się z jej wzrokiem — jasne, otwarte. w których nie można było dostrzec żadnej ubocznej myśli, zaczęła mówić dalej.

— Wątpię, aby sobie życzyła, bym o to zapytała męża. — Przykrości te zdarzają się najczęściej potem, gdy byli w jakimś towarzystwie. W drodze lub po powrocie do domu wpada w najgorszy humor. Prawie że nie chce do niej mówić, a gdy się odezwie, to zawsze gniewnie i niegrzecznie.

— Być może, że wina jest po stronie kobiety i że mu się niepodoba jej zachowanie.

— O, nie, — odparła z żywością, — jestem pewna, że tak nie jest, i że nie może mieć nic jej do zarzucenia. Oboje są ludźmi poważnego sposobu myślenia. Gdziekolwiek pójda, niema tam nigdy mowy o tańcu lub niewłaściwej zabawie. Ale moja przyjaciółka sądzi, że to może jej wesołość i ożywienie nie podobają się mężowi. Ostatni raz na zebraniu, na które byli zaproszeni, siedziała tylko w towarzystwie starszych zamężnych wieśniaczek i rozmawiała tylko o poważnych rzeczach. Ale potem zbliżył się do niej gospodarz domu i zachęcił, by poszła obejrzeć z nim jego ogrody. Był to człowiek starszy i nie mówił z nią o niczem innem jak o krzewach i kwiatkach i o tem, że wielka to szkoda, że jest za mało w okolicy ogrodów. Zainteresowała się tem, co mówił i przyznawała mu słusność, więc zapytała, czy sądzi, że warto, aby założyła sobie ogródek przy domu. Bardzo ją do tego zachęcał i przyobiecwał, że przyśle jej teraz swego ogrodnika dla zrobienia planu, a na wiosnę dostarczy szczepów i nasion. Lecz gdy powracali wieczorem do

domu, spostrzegła, jak mąż zaciskał pięść koło rączki od bata, że aż mu zbiełała w kostce, a gdy droga szła pod górę, i koń się potykał, bo mu było ciężko, chłostał go zirytowany, a jej powiedział, że dom jego musi pozostać takim, jakim był za poprzedników, bez żadnych zmian, i że na żadne wogóle się nie zgodzi i że prosi ją raz na zawsze, aby tego rodzaju spraw nie załatwiała nigdy bez niego, nie zapytawszy najpierw o pozwolenie. Była, pisze mi, tak tem wszystkim przeżrana, że mu nic nie umiała odpowiedzieć. Złożyła tylko ręce i prosiła Boga, żeby jej pozwolił zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć.

Młoda kobieta mówiła wolno, z wielką ostrożnością ważąc każde słowo. Swen słuchał z coraz to większem zaciekawieniem, i przypadło mu na myśl, że obraz starszego człowieka, skreślony przez młodą kobietę — gospodarza rozmiłowanego w ogrodnictwie przypominał pewnego bogatego właściciela ziemskiego z okolicy. Oczywiście, urządził przyjęcie na cześć młodej pary. Ale nie zdradził się przed nią z tego, co mu przyszło na myśl z powodu jej opowiadania.

— Chyba że ta młoda wieśniaczka musi być bardzo piękna.

— Zdaje mi się, że ją ludzie uważają za przystojną, — powiedziała jakby od niechcenia. — Ale cóż za radość ma z tego, jeżeli mąż znajduje w niej tyle błędów i tyle ma jej do zarzucenia i tak na każdy jej krok zwraca uwagę. Wyobrażam sobie, że musi mieć uczucie, jak gdyby nie miała już nigdy odzyskać swej własnej woli i jakby wszystko, co robi, było godne jedynie potępienia. Jakże się potrafi nauczyć tego, co wolno, a co zabronione?

Swen przygotowywał właśnie żagiel do odwrotu i nie zdążył odpowiedzieć, ciągnęła dalej:

— Przedtem, kiedy jeszcze była w domu, nikt jej nigdy nie czynił wyrzutów. Tam byli wszyscy z jej postępowania zadowoleni. Uważano ją za przykład dla młodszego rodzeństwa, i wszyscy mówili, że dom stanie się mniej przyjemny, gdy go opuści. A dziś, gdy o tem wspomni, uśmiecha się tylko do siebie, bo teraz, gdy ma własny dom, zmuszona jest uważać siebie za kogoś, który się do niczego nie nadaje, i spotykają ją tylko wyrzuty za to, co mówi i za to, czego nie mówi i za to co robi i za to czego nie robi.

— Boże mój! Cóż ja jej odpowiem? — pomyślał Swen Elverson. Jest samotną, nie ma nikogo, komu by się mogła zwierzyć, jest bezbronną i obcą, ma potrzebę podzielenia się z kimś swoim nieszczęściem i pociesza ją to zapewne, gdy o niem mówi.

Powiedział tylko, że pani Rhonge musi być bardzo przywiązana do przyjaciółki.

— Chciałabym jej dopomóc, — rzekła młoda kobieta i miała znów łzy w pogotowiu, — a ponieważ wiem, że jest dobrym, zacnym człowiekiem... Lubi odwiedzać biedaków i starców, ale i tego jej nawet nie wolno. Nic jej nie wolno, i to jest takie przykre. Nie wolno jej nawet siadać w kościele w ławce, która jest przeznaczona dla jej domu, bo umieszczona jest na wzniesieniu, z którego można spoglądać na całą gminę.

Swen Elverson przypomniał sobie teraz w kościele w Applum ławkę, przeznaczoną dla żon pastorów. Stała w samej rzeczy na wzniesieniu, z którego można było widzieć cały kościół. — Przecież nie mogę jej powiedzieć, że jej mąż jest zazdrosny, — pomyślał sobie. — Mogłaby się czuć tem dotknięta. Może to wszystko przejdzie. Lepiej żeby o tem nie wiedziała.

Zakręcił ster i zawrócił ku domowi. — Najlepiej będzie dla młodej kobiety, jeśli ją mąż zastanie w domu po powrocie z kościoła.

Ubolewał nad tem, że nie mógł jej dopomóc i, ażeby odwrócić jej myśli od troski, która ją przygniatała, rzekł, wskazując na wysoko położoną wysepkę na zachodzie:

— A to jest wyspa Grim. Stamtąd pochodzi ten człowiek, którego zwą Swenem Elversonem. Musiała pani o nim słyszeć.

Skinęła potakująco głową. — Znam całą tę historję.

Jak gdyby chciała pozostawić kwestję w zawieszeniu, dodała jednak kilka słów, które położyły koniec tej odrobinie szczęścia, jakiej zaznał tego ranka.

— Pan wie chyba o tem, że szkoła, którą stawiał, spaliła się wczoraj wieczorem.

— Spaliła się? — zawołał i przerażony wypuścił ster z ręki, a wiatr przerzucił żagiel i łódka się przechyliła.

— Tak, spaliła się doszczętnie, — rzekła żona pastora, — i dobrze się stało.

Zatoczył krąg, by nadać łódce właściwy kierunek i powiedział przytem przez zaciśnięte zęby: — Dlaczego pani mówi, że się stało dobrze? Słyszałem, że obywatele w Applum byli w zupełności z budynku zadowoleni.

— I ja tak słyszałam, — rzekła. — Ale cóż z tego, kiedy dzieci nie chciały do niego ucześnieć.

— Dzieci nie chciały do niego ucześnieć? — powtórzył bezdźwięcznym głosem. — Nie byłem tak dawno na łądzie, że nic o tem nie słyszałem.

Zauważyła, że go podnieciła nowiną, więc ciągnęła dalej z zapałem i opowiadała, jak to dzieci od pierwszej chwili okazywały niechęć do szkoły, którą budował ludożerca, bo się bały, że utracą zbawienie, jeśli będą się uczyły w klasie, gdzie pachniało krwią chrześcijańską.

Zdziwiła się, zauważywszy, że mężczyzna, który siedział przed nią i słuchał tego, co opowiadała, zamilkł, jak gdyby ogłuszony. Przymrużył oczy, i dziwny uśmiech osiadł na jego ustach — uśmiech człowieka wymęczonego i skazanego na rezygnację.

Ażeby wyjaśnić bliżej to, co powiedziała, dodała, jak to nauczyciel i nauczycielka robili wszystko możliwe, by wpłynąć na dzieci, jak to im tłumaczyli rozumnie i przyjaźnie, że szkoła jest doskonale urządzona, i wszystko w niej obmyślane ku ich pożytkowi i przyjemności. Ale nic nie pomogło. Dzieci nie chciały o tem słyszeć i powtarzały: że dom zbudowany przez tak wielkiego grzesznika, nie może być poświęconym. Zdarzało się, że niektóre z nich dostawały podczas zajęć napadów płaczu, inne znów miały halucynacje, a przestraszczone i obrzydzone rosły z dnia na dzień.

Wkońcu rodzice nie byli nawet w stanie wymóc na dzieciach, by wogóle chodziły do szkoły. Była obawa, ażeby bardziej wystraszone nie postradały rozumu.

Swen Elverson siedział i patrzył wprost przed siebie.

— Teraz wiem już, — pomyślał, — jaki jest jej sąd o mnie. Osądza mnie, jak wszyscy inni.

Objaśniła go, że, mówiąc, iż dobrze się stało, że się szkoła spaliła, miała na myśli dzieci. Pożar wynikał zresztą skutkiem wypadku. Kobieta, która sprzątała salę szkolną w sobotę po południu, przewróciła lampę, a pożar ogarnął budynek, zanim zdołano zorganizować pomoc.

— Tak, teraz został Swen Elverson osądzony przez Boga i ludzi, — rzekł człowiek u steru. — Teraz można powiedzieć, że Bóg nie dopuścił, aby istniała szkoła, budowana przez tak grzesznego człowieka.

— Moznaby pomyśleć... — zaczęła młoda kobieta, ale zaraz przerwała. Błysnęła jej przez głowę myśl, że może ten, w którego towarzystwie przebywała parę godzin, był właśnie owym Swenem Elversonem. Alboż nie słyszała jego nazwiska już wtedy, gdy powracali razem ze stacji? Jakkolwiek wtedy nie zwróciła na to uwagi.

Przypatrzyła mu się uważniej. Dała się zwieść jego prostym strojem, ale przecież twarz, którą miała przed sobą, to wszakże twarz człowieka wykształconego. A ten cudzoziemski akcent, który ją dziwił, to niezawodnie pozostałości jego wychowania na obczyźnie.

Opuścił powieki, a ona siedziała i patrzyła na ten szczególny uśmiech, który błąkał się na jego wargach, i czuła się bezgranicznie nieszczęśliwą, że powiększyła brzemię jego cierpień.

— Czy miałabym teraz wrócić do domu z tem smutnem uczuciem, że dotknęłam ciężko tego biedaka? I cóż z tego, że się to stało wbrew mojej woli? Tem niemniej uczyniłam to. To niemożliwe. Cierpiałabym więcej jeszcze, niż gdy tu przyszłam dziś rano do morza. Miał być podobno wiele obiecującym młodym uczniem, — snuła dalej w swej głowie, — i stracił wszystkie widoki w tym kierunku, a teraz ofiarował pieniądze i pracę na szkołę, by odzyskać szacunek ludzki. Ta historia szkoły — jakie to musi być dla niego straszne. Nie powinnam była mu tego powiedzieć.

Podczas powrotnej drogi milczenie zaległo łódkę. Ani on ani ona nie starali się go przerwać.

Kiedy przybili do kamiennego mostu koło muru skalnego, i on powstał z miejsca, by dopomóc jej wsiąść, schwyciła go za rękę.

— Proszę mi przebaczyć, — rzekła. — Nie wiedziałam, że to pan. — Pochyliła się i musnęła wargami jego czoło, niechronione daszkiem czapki.

— Co pani czyni!? zawołał. Zdawał się być złym, jak gdyby go ukąsiła.

— Chciałabym, żeby pan zrozumiał, że nie odnośzę się w mych uczuciach względem pana tak, jak inni — rzekła.

Mówiąc to, wyskoczyła z łódki na most i nie oglądając się, podążyła przez ławę piasku i skryła się pomiędzy skałami.

Lecz on pośpieszył za nią, i nie uszła daleko, gdy położył rękę na jej ramieniu, aby ją zatrzymać.

— Dzięki, i niech panią Bóg błogosławi, — rzekł stłumionym, przerywanym głosem. — Ale niech pani pamięta, aby się to nigdy więcej nie powtórzyło, i nie wolno pani wspomnieć o tem mężowi. Mógłby być zazdrosnym i w przystępie zazdrości nawet panią zabić.

*

* *

Swen Elverson pozostawił młodą kobietę i odszedł. Ona skierowała się ku domowi drogą przez pola, lecz ostatnie jego słowa brzmiały długo w jej uszach.

Zazdrosny!? — Czy to możliwe, aby mąż jej mógł być o nią zazdrosnym?

Powinien przecież wiedzieć, że jest mu oddaną całą duszą, wszystkimi swemi uczuciami i całą swą myślą.

Zdawało jej się to niesprawiedliwością i obrażą. Jak można myśleć, że mąż jej mógłby być zazdrosnym? I lzy napływały jej do oczu.

— Bóg raczy wiedzieć, jak to jest naprawdę z tym Swenem Elversonem, — mówiła do siebie. — Wprawdzie, chociaż wszyscy czują do niego wstręt, ale mimo to przyznają, że jest dobrym człowiekiem. Chociaż kto wie? Może nie cierpi on tak bardzo niewinnie? Jak mógł powiedzieć, że Edward jest o mnie zazdrosny? To tak sobie wykombinował podczas naszej rozmowy w łódce. Szkoda, że go tu niema, powiedziała-bym mu całą prawdę w oczy. Edward nie może być o mnie zazdrosnym, ale to jest jego i mojem nieszczęściem, że mnie przestał kochać. On, który stoi tak wysoko. O kogoż to miałby być zazdrosnym. I ten człowiek myślał, że mógłby nim być może z powodu niego.

— Ale to nic innego, tylko że przestał mnie kochać, — powtarzała. — To nie jest jego wina, że nie może mię więcej kochać, ale chyba nie mógł przestać wierzyć we mnie i w moją dla niego miłość. Byłby niesprawiedliwym, byłby krótkowidzem, prawie że śmieszny.

Kiedy wróciła do domu, wyszła naprzeciw niej służąca z zatrwożoną twarzą. Opowiedziała jej, że jest już po nabożeństwie, i że proboszcz zląkł się bardzo, gdy po powrocie z kościoła, nie zastał jej w domu. Szukał jej wszędzie, poszedł nawet nad morze. Teraz siedzi w swoim pokoju, i byłoby najlepiej, gdyby pani zaraz do niego poszła.

Otworzyła drzwi do gabinetu. Czyżby był chory? Ten wysoki, silny mężczyzna siedział z twarzą podpartą na dłoni, kołysał się, skarżył się i jęczał.

Sigrun weszła do niego i spytała ze zdumieniem, co mu się stało. Gdy spojrział na nią, zobaczyła, że był zmieniony do niepoznania. Twarz mu się skurczyła, oczy miał wyblakłe i podbite, brodę zwichrzoną. Nigdy nie myślała, aby człowiek mógł się tak zmienić w tak krótkim przeciągu czasu.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, jakby jej nie poznawał. Potem przesunął rękami po twarzy. Czynił najwidoczniej usiłowania, aby przyjść do siebie.

Jakże innym zupełnie przedstawiał się jej w tej chwili ten mężczyzna, taki zawsze pełen godności i pewności siebie.

Opanowało go wzruszenie, i łzy spływały mu po twarzy.

Wyciągnął do niej rękę i, nie wstając z miejsca, przyciągnął ją ku sobie, nie całował, nie pieścił, a tylko przytulił twarz do jej piersi i płakał w sposób rozdzierający serce.

Prosiła go i prosiła, aby jej przecież powiedział, co go tak męczyło. Ale bardzo długo nie był zdolny jej odpowiedzieć.

Nic innego mu nie dolegało, jak to tylko, że wróciwszy z kościoła, nie zastał jej w domu. Szukał jej wszędzie po okolicy, był nad morzem, ale jej nigdzie nie znalazł. Był pewny że go opuściła, że od niego uciekła.

Nie mogła się powstrzymać od wybuchu śmiechu, w którym czuć było zadowolenie i tryumf.

— Nie wolno ci już nigdy oddalać się ode mnie, — rzekł, — musisz mu przyrzec solennie, że już nigdy się więcej nie oddalisz. Przyrzeknij mi, że ilekroć będziesz chciała wyjść, uprzedzisz mnie i powiesz, gdzie cię będę mógł znaleźć. Widzisz, że inaczej rozum tracę.

Wszystko mu przyrzekła, co tylko chciał. Obiecywała, że nic ją prócz śmierci z nim nie rozłączy.

Potem stała u jego boku i głaskała jego włosy, dopóki nie przyszedł do siebie. Z jednej strony lekko jej było na sercu, bo się przekonała o jego miłości, z drugiej była zrażona, gdyż obcym był jej ten rodzaj uczucia. Nie była w stanie go zrozumieć. Była to miłość w jej pojmowaniu zbyt gorąca i dzika.

Zapytała go, skąd to przyszło, że mógł przypuścić, że ona chciałaby się z nim rozstać, a wtedy wyznał, że uważa ją za istotę znacznie szlachetniejszą od siebie — wyższą, z innego świata; więc się bał, że może kiedyś zniknąć. Nie jest wart, by móc ją zatrzymać.

Czyż to możliwe, aby tak myślał? To niepodobna. To tylko jego miłość tak ją wywyższała, bo tak miłość czynić zwykła. W podobny sposób i ona go tak wywyższała w swoim sercu.

Nie czuła się więcej nieszczęśliwą, jak dziś zrana. Nabrała otuchy. Natomiast powstało w niej uczucie obawy przed mężem, a o spotkaniu ze Swenem Elversonem nie wspomniała przed nim ani słowem.

*
* *
*

Swen Elverson powracał z ojcem do domu. Stary Joel siedział u steru, a syn leżał wygodnie wyciągnięty na dnie łodzi. Joel pośpieszył z wiadomością o pożarze, o którym bardzo wiele mówiono przed kościołem. Wydawał się ze swego miejsca bardziej jeszcze zgarbiony i stary, niż zwykle i zupełnie pozbawiony otuchy. Dreczęła go myśl, że to ostatnie niepowodzenie zamyka synowi wszystkie drogi.

Swen Elverson leżał i wolno gładził czoło. To przesuwał po nim jednym palcem, to znowu całą swą delikatną, wąską ręką.

W duszy odczuwał dziwną swobodę i żwawość. Jego myśli jasne i ściśle napływały jedna za drugą. Otwierał się przed nim nowe drogi.

— Ojciec, — zawołał po chwili, — wstręt jest to objaw bardzo silny. Zwalcza wszystkich, i nikt mu nie ujdzie. Trzeba wiedzieć o tem od samego założenia. Kto walczy przeciw wstrętowi, ten w walce paść musi.

Ojciec wzruszył nieco ramionami i mruknął w odpowiedzi coś, czego z powodu szumu fal i wiatru nie można było dosłyszeć.

Swen leżał dalej i myślał. Ale dusza jego odkryła znowu coś, co mu się wydawało jasne i niezaprzeczalne, i odezwał się znowu:

— Ale wstręt nie jest niczem złem. Uprzedza i stróżuje. A ten, kto posługuje się wstrętem, by zastoso-
wać go do dobrych uczynków, może przynieść ludz-
iom niejedną korzyść.

Ojciec spojrział na niego. W jego wyblakłych oczach zaświeciła iskierka, i wyprostował trochę swe zgarbione plecy.

Syn podskoczył, przecisnął się przez ławki i przysiadł się koło ojca.

— Coś mi się dziś przytrafiło, — rzekł, — co mi dodało odwagi. Nie martwię się tem, że się szkoła spaliła. Myśli moje zwracają się w inną stronę.

Poczem powrócił na miejsce, położył się na pokładzie łódki, słuchał ciężkiego poszumu południowego wiatru, patrzył na mieniące się w barwach szery i gładził dalej czoło swą wąską, delikatną ręką.

GORSZY NIŻ NAJGORSZY

Oskarżony Juljusz Marcin Lamprecht leżał na swem posłaniu w więzieniu przewencyjnym w Knap-
fjordzie i spoglądał w szary mrok, który go otaczał. Teraz tak samo jak dawniej, ilekroć bywał aresztowa-
ny, leżał i wyobrażał sobie, że jest niewinnym. Po cóż więc miałby się do winy przyznawać?

— Gdybym był w rzeczywistości winien temu, — myślał, przypominając sobie słowa, w których się tłomaczył podczas rannego posiedzenia sądu, — że oboje starzy, znaleźieni zostali z potrzaskanemi czaszkami, oczywiście, że wcalebym temu nie przeczył. Wiadoma rzecz, że musi być oko za oko i ząb za ząb, i że sprawiedliwości musi się stać zadość. Lepiej przecież ponieść karę na tym świecie, który się kiedyś skończy, niż na tamtym, w którym nie będzie końca cierpieniu.

Oskarżony mógł liczyć lat około czterdziestu pięciu i wyglądał na swem posłaniu nieomal na olbrzyma. Włosy miał jasne, kędzierzawe jak u dziecka, cera jego o lekkim rumieńcu zachowała swą młodzieńczą świeżość, a jasne, dość długie wąsy zdołały twarz o prawdziwych rysach. Oczy tylko, które zresztą także były piękne, rzuciły nieprzyjemne spojrzenia, a wzrok spoglądał uporczywie w jedno i to samo miejsce lub krążył niespokojnie między podłogą, sufitem i kratami celi.

— Każdy traktuje rzeczy po swojemu, — rozmyślał dalej. — Prokurator i sędzia kierują się swoja

specjalną prawdą, bo rzeczywistość do ich serc nie dociera. Zawsze ją opacznie tłumaczą.

Podczas gdy tak leżał i sam przed sobą się uniewinniał, stanął mu w pamięci obraz, jak to pewnego późnego wieczoru wszedł w żebraczym palcie, zgłodniały i zziębnięty do samotnej, wśród kamienistych, nieurodzajnych pagórków ukrytej chałupy. Drzwi były jakby od niechcienia otwarte. Dwoje starych, wystraszonych jego wejściem ludzi, siedziało przy stole koło okna. Na jego widok pośpiesznie zamknęli szufladę.

Rozmawiał z nimi uprzejmie, usiadł koło ogniska, jadł z nimi ich strawę. Nie okazywali bojaźni, ale czuł, że byli niezadowoleni i że nie mieliby byli nic przeciwko temu, gdyby się znadował o tysiąc mil od nich daleko.

— Gdy się jest więźniem, który był skazany na dożywotnie więzienie i tylko za dobre sprawowanie otrzymał skrócenie kary do lat dwudziestu i został po jej upływie wypuszczony na wolność — myślał i fantazjował dalej na temat dzisiejszej sprawy sądowej, — nietrudno być posądzonym na nowo. Nie można nawet oczekiwać czegoś innego. Może nawet człowiek sam nie postąpiłby inaczej, gdyby był na ich miejscu.

Jednocześnie przesuwały się w jego pamięci obrazy, jak to starzy położyli się do łóżka, a jemu oddali siennik na podłodze. Ogień palił się jeszcze na kominiarce, i w jego blasku widział obie ich głowy, spoczywające obok siebie. Jemu było twardo i niewygodnie. Marzył, i nie było mu wesoło. A najwięcej gniewała go myśl, że starzy wyrzucali sobie może, że go na nocleg przyjęli.

Siekiera, którą mąż odrąbał kilka wiórków, żeby je podłożyć pod rądel z kaszą, leżała na pieńku. Zapytywał siebie, czy była zostawiona umyślnie, ażeby

stał błyszcząca w ogniu i żeby można było dobrze zobaczyć, iż leżała tak poręcznie.

Był śpiący, ale bał się usnąć. Gdyby zasnął, mogliby z nim zrobić, coby chcieli. Mąż był człowiekiem jeszcze zupełnie rzeźkim, choć miał może ze siedemdziesiąt lat. A przecież było ich dwoje przeciwko jednemu.

— Zdawałoby się coprawda, że ten, kto ma za sobą dwadzieścia lat ciężkich robót, powinienby się wydawać mniej podejrzanym, niż taki, co to nie zaznał jeszcze rozkoszy więzienia, — mruzczał oskarżony, przypominając sobie słowa perswazji i usprawiedliwienia, w których się zwracał dziś rano do młodego sędziego prowadzącego śledztwo. — Ale wiadomo, że to nie jest przyjęte, a przynajmniej że się nie postępuje wedle tego prawidła.

Przypominając sobie te piękne słowa, które wygłosił dzisiejszego ranka wobec sędziego, widział jednocześnie siebie, leżącego na podłodze w chałupie i czyniącego wszelkie możliwe wysiłki, aby dosłyszeć to, co szeptali między sobą starzy. Mąż bardzo na coś nalegał, ale żona go powstrzymywała.

— Pozwól mu tylko najpierw zasnąć, — usłyszał, jak powiedziała.

Wędrowca na twardem posłaniu ogarniały coraz to nieprzyjemniejsze uczucia. Najwidoczniej mieli w domu pieniądze i obawiali się, żeby ich nie ukradł. Okropne to doprawdy, na ile niebezpieczeństw narażony jest taki biedny wędrownik!

Z początku nie przewidywał zupełnie, że mogą go zaaresztować. Z jednej strony chałupa, w której leżeli starzy z rozciętymi głowami, była bardzo oddalona od traktu, mógł więc mieć nadzieję, że nikt nie zauważy tego, co się stało, zanim on zdąży dojsć do jakiegoś bezpiecznego miejsca, z drugiej — czuł się zupełnie

niewinny. Był nawet przekonany, że się znajduje pod opieką Wyższej Sprawiedliwości. Wyższa Sprawiedliwość jest inna niż ziemską i wie, kiedy człowiek znajduje się w ciężkim położeniu. Można by powiedzieć, że Jej łatwiej przemówić do rozsądku. Bo, ostatecznie, coby mogła mu wziąć za złe ta Wyższa Sprawiedliwość? — Co najwyżej chyba tych parę kłamstewek z musu (do których się zresztą zupełnie przyznawał), dotyczących jego miejsca pobytu w noc zbrodni i w kilka dni następnych. Lecz choć naprawdę kochał sprawiedliwość i niewątpliwie chciał mieć czyste sumienie, uważał, że należało je wybaczyć człowiekowi w takim, jak on, położeniu. Jeżeli bowiem ktoś został aresztowany wbrew wszelkim zasadom sprawiedliwości i prawa, jedynie na takiej podstawie, że odsiadywał już kiedyś więzienie i że znaleziono przy nim książeczkę oszczędnościową zamordowanych, to doprawdy, każdy przyzna, iż był zmuszony do zбочenia cokolwiek z drogi zupełnej prawdy. Więc zmuszono go do tego, by powiedział, że wykradł książeczkę komuś na koleji. Alboż próbował wmówić komukolwiek, że ją nabył prostą drogą? Powiedział wręcz, że ją ukradł. A skąd ten pasażer miał przy sobie tę książeczkę, tego doprawdy nie mógł przecież wiedzieć. Drogi postępowania tamtego człowieka były mu nieznanne, i za dużo chyba wymagało od niego, żądając dalszych wyjaśnień.

Oskarżony przeżywał w myśli raz po raz to samo i za każdym razem czuł się mniej winnym.

Po chwili, kiedy się otwarły drzwi i ujrzał w nich młodego sędziego, który prowadził dziś rano śledztwo, w towarzystwie strażnika z więzienia okręgowego i jeszcze jakiegoś młodzieńca, którego można było wziąć z wyglądu za lepszego robotnika, był przekonany, że tylko z wyjątkowej łaski nie skazano go odrazu na śmierć.

Więzień podniósł się ze swego posłania i przyjął uprzejmy i uprzedzający wyraz twarzy. Przynależał był raz pastorowi więziennemu, że się będzie sprawował nienagannie i zawsze dotrzymywał słowa, a teraz zamierzał dowieść, że był nie tylko zwolennikiem sprawiedliwości, lecz nawet jej najgorliwszym służebnikiem.

— Chciałbym powiedzieć Lamprechtowi, — zaczął młody sędzia, — że jutro ma zapasć wyrok w waszej sprawie, i dlatego pragnąłbym przemówić wam raz jeszcze do sumienia i rozsądku. Przez przyznanie się do winy ulżycie waszemu sumieniu i otrzymacie lżejszą karę.

Oskarżony pokręcił tylko energicznie głową. Przyjął zresztą wszystko ze zrozumieniem.

— Pojmuje, — odparł, — że sędzia znajduje się w trudnym położeniu. Nauczywszy się kochać sprawiedliwość, która jest podstawą wszystkiego, i na którą jedynie można liczyć, domyślam się, jak łatwo można się zawahać. Bo nie chciałoby się ani skazać niewinnego, ani też wypuścić na wolność złoczyńcę.

Mówiąc to, widział, jak sędzia zrobił kilkakrotnie ruch ręką, żeby mu przerwać, ale on nie dał się zbić z tropu. Kiedy się siedziało w areszcie dwadzieścia lat, to miało się czas nabyć nieco doświadczenia i wiedziało się, co pożytecznego powiedzieć sędziemu, który bogać że prowadzi może swoją pierwszą sprawę.

Dano mu dopowiedzieć do kropki, poczem sędzia rozpoczął na nowo, jak gdyby nie odebrał żadnego wrazenia:

— Lamprecht nie posiada zdolności do dawania ścisłych odpowiedzi, dlatego postawiłem tu trzy punkty, na które proszę odpowiedzieć:

— Czy niżej podpisany Juljusz Marcin Lamprecht przyznaje się do tego, że w nocy na trzynastego lutego

1909 r. zabił cięciem siekiery w głowę robotnika Jonasa Mikaelsona?

— Czy niżej podpisany Juljusz Marcin Lamprecht przyznaje się do tego, że w nocy na trzynastego lutego 1909 r. zabił cięciem siekiery w głowę żonę robotnika: Brygidę Gustawę Mikaelson?

— Czy niżej podpisany Juljusz Marcin Lamprecht przyznaje się do tego, że mu było wiadomo, iż wyżej wymienieni z imienia i nazwiska małżonkowie posiadali w domu księżeczkę oszczędności na dwieście koron, i że w zamiarze przywłaszczenia jej sobie popełnił morderstwo?

Sędzia położył papier na stół.

— Niechaj Lamprecht teraz na te pytania odpowie, — rzekł. Lamprecht wie, że nie może się spodziewać zwolnienia, więc lepiej się przyznać i zasłużyć na złagodzenie kary. Kładę tutaj papier i dam zlecenie, żeby przynieśli pióro i atrament.

Oskarżony czuł się mocno dotkniętym krytyką sędziego o jego sposobie wyrażania się, stracił dobry humor i wzrok utkwiał w jeden pusty punkt celi.

— Czy Lamprecht zrozumiał, co mu powiedziałem? — zwrócił się do niego sędzia. Lamprecht ma odpowiedzieć na trzy pytania, wypisane na tym tu papierze, a pióro i atrament znajdują się przed nim na stole.

Oskarżony westchnął głęboko. Za bardzo się czuł dotkniętym, by się utrzymać w tonie sprawującego się nienagannie. Napłuł na papier. Poczem wrócił ku posłaniu, rzucił się na nie i przymknął oczy.

— Proszę przynieść Lamprechtowi świeży papier, — rzekł sędzia z tym samym spokojem, który go przez cały czas nie opuszczał.

— Daję Lamprechtowi godzinę czasu. Tak długo poczostanę w sądzie. Chciałbym zauważyć, że Lam-

precht powinien to sobie uświadomić, iż dla niego pora do namyślenia się minęła.

Oskarżony odpowiedział tylko wymysłem. Wkrótce usłyszał, że drzwi się otworzyły, więc wszyscy wyszli. Nie zadał sobie nawet trudu, by uchylić powiek.

Miał się w tej rozmowie za zwycięzcę. — Kiedy tak uporczywie zaprzeczam, to ten chłopak nie będzie miał odwagi mię skazać. A co się tyczy tego papieru — to mam go podpisać? A na co mi to?

Leżał na posłaniu i miał te same widzenia, co poprzednio, i prowadził tę samą, co poprzednio, rozmowę między sobą a sędzią. Był z minuty na minutę coraz bardziej przekonany o swojej niewinności i o tem, że ci starzy w chałupie czyhali zwykle na samotnych wędrownych i mieli już niejednego na swem sumieniu.

Jednocześnie wydawało się to znaczącem, że sędzia go odwiedził i nalegał na przyznanie się do winy. Widocznie więc, że go uważano za człowieka niebezpiecznego — za jednego z tych, których się niechętnie wypuszcza z więzienia.

— Aha, — rzekł do siebie i wydał pierś. — Teraz rozumiem. Ludziska z okolicy boją się pewnie, że mogą mię wypuścić, i to samo dawało się nawet dziś rano odczuwać w sądzie. Wyobrażam sobie, jak gazety są tem zajęte. Skazałoby się chętnie człowieka, ale jak to zrobić kiedy brak dowodów? Więc trzeba wymóc przyznanie. Bo bez dowodów i kiedy oskarżony uporczywie milczy, ani rusz skazać.

Czuł się tak pewnym wygranej, że zaczął gwizdać.

— Możliwe i to, iż rzeczy się tak ułożą, że to ciężkie doświadczenie nie będzie pozbawione korzyści. Potem, — myślał sobie, jak się znowu kiedyś znajdzie do jakiejś samotnej chałupy, to się człowiek nie będzie kontentował zimnemi kartoflami albo resztkami kaszy wyskrobanemi z rądla. Potem dość będzie powiedzieć

swoje nazwisko: Juljusz Marcin Lamprecht, żeby każdy wiedział, co ma zrobić, i zaraz łydła i garnki ukażą się na piecu, i wszystko, co chałupa będzie miała najlepszego, przyjdzie na stół. Oho! Nie będzie człowiek leżał na podłodze na sienniku, to gospodarze będą sobie stali na ziemi albo w jakiejś stodole, czy tam gdzieindziej.

Znów przeszkodzono oskarżonemu. Jego rozmyślenia zostały przerwane. Jakiś miły, pokorny głos odezwał się do niego:

— Już pięć minut upłynęło z wyznaczonej godziny.

Otworzył oczy. Człowiek odziany jak robotnik, który towarzyszył przedtem sędziemu, stał koło niego.

— A pan co tu robisz!? Kto pan jesteś! — krzyknął oskarżony niemile zaskoczony tem, że nie był sam. A może mówił do siebie głośno?

— Jestem właściwie nikim, — odrzekł mężczyzna odziany jak robotnik. — Jestem Swen Elverson, syn Joela Elversona z wyspy Grim. Wpadło mi na myśl, że mógłby pan za długo leżeć w zamyśleniu albo może zasnąć, i nie zdążyć przyznać się przed upływem oznaczonego czasu; więc prosiłem sędziego, żeby mi pozwolił zostać, abym mógł z nim porozmawiać.

Juljusz Marcin Lamprecht zauważył, że powierchowość tego człowieka była bardzo miła. Coś uderzająco rozbijającego miał w swoim uśmiechu, sposobie mówienia i w całym obejściu. Sam sposób uczesania z przedziałem i brak wąsów i brody znamionowały skromność. Wszystko, coby można określić jako miłość własną, były od tej postaci dalekie; uczciwość i rzetelność charakteryzowały fizjonomję tego człowieka.

— Aha, to jeden z tych, co to łążą wszędzie, by czynić dobrze, — pomyślał oskarżony, ale ze mną daleko nie zajdzie.

— Może pan myśli, że napiszę tutaj choćby jedno słówko!? — wrzasnął.

— Niech się pan nie gniewa, — odparł Swen Elverson i spojrział miłe i pokornie na oskarżonego. Byłeś pan już kiedyś oskarżony, więc pan wie, co to jest sąd, i rozumie dobrze, że nie można nikogo podsądneho, o ile zaprzecza, a niema przeciwko niemu dostatecznych dowodów. Lecz zanim się pan zdecyduje, chciałem to tylko powiedzieć, że pewne grono ludzi zamierza złożyć pięć tysięcy koron i oddać je do pańskiej dyspozycji. Oczywiście, że nie będzie pan mógł nimi rozporządzić.

Oskarżony poczuł, że go przebiega dreszcz od stóp do głów. Skrzywił się, ale natychmiast powściągnął tę oznakę słabości.

— Chcemy panu dać tę sumę z chwilą, gdy się pan przyzna do winy. Pan rozumie, że wiele nam na tem zależy, aby się stało. Wszyscy w okolicy a nawet w całej Szwecji są przerażeni. Nie chcemy do tego dopuścić, aby pan pozostał na swobodzie i chodził na noclegi do samotnych chałup. Dla pana jest to wielką pokusą, ale ogół tego sobie nie życzy. Nie nastajemy, broń Boże, na pańskie życie, ale pragniemy wszyscy, aby pan pozostał na zawsze zamknięty w więzieniu. Nie jesteś pan, że tak powiem, człowiekiem złym, ale przez pańską bujną wyobraźnię popadasz łatwo w strach, i zdaje ci się, że wszyscy są dla ciebie niebezpiecznymi i na ciebie czyhają. Myślę, że jeśli się pan dobrze zastanowi, to dojdzie do przekonania, że dla niego samego będzie najlepiej, jeśli pozostanie pan pod kluczem. Będzie pan przynajmniej spokojny i nie będzie się musiał ciągle obawiać o siebie. A więc, czy nie najlepiej przyjąć te pięć tysięcy koron i przyznać się do winy, z wolnej, nieprzymuszonej woli?

— Żeby tak ze sto tysięcy — to co innego! — Zawołał oskarżony.

Swen zbliżył się do niego i usiadł na posłaniu.

— Nie mów pan tak, — rzekł i położył rękę na jego rękawie, głaszcząc go po nim z góry na dół.

— Pięć tysięcy to ładna suma, w sam raz wystarczająca na cel przeznaczony. Więcej byłoby za dużo, a mniej za mało. Pięć tysięcy to właśnie tyle, ile potrzeba.

— Nie rozumiem tego wszystkiego, — zastanowił się teraz oskarżony. — Bo z tych pieniędzy nie będę sam nic miał, więc pan chce, żebym je dał komuś, ale komu mam je dać?

— Dzięki za to pytanie. Bo o tem właśnie chciałbym z panem pomówić. Jest to zrozumiałem, że w ostatnich czasach zajmowały się panem dużo gazety. Między innymi dowiedzieliśmy się z nich, że gdziekolwiek pan przychodzisz, dopytujesz się o swoją córkę. Pan byłeś wszakże żonaty, zanim go los popchnął do pierwszego morderstwa przed dwudziestu dwu laty. A kiedy wypuszczono pana na wolność, starałeś się zaraz dowiedzieć, co porabiała żona. Niestety, już nie żyła. Lecz miałeś również córkę, która powinna mieć teraz dwadzieścia i parę lat, a ona podobno żyje. Nikt dotychczas nie mógł panu wskazać jej miejsca pobytu. Chodziłeś i szukałeś jej, można powiedzieć, po całym państwie. Gdziekolwiek wchodziłeś do jakiegoś domu, pytałeś zaraz na wstępie, czy nie znano tam kobiety, która się nazywa Julja Lamprecht. Jest to, mojem zdaniem, bardzo charakterystyczne. Bo to, że się tak dopytywałeś o córkę, dowodzi, że jednakże tkwić w nim musi coś dobrego.

— Ależ na Imię Boskie! — odezwał się oskarżony. — Możeby mi pan wreszcie wytłumaczył, co to

para obchodzi? Możeby się na koniec dowiedział, po co pan tu przyszedł i mnie się czepia?

— Jeszcze raz dziękuję, — rzekł Swen najłagodniejszym swoim głosem, jakby się bał obudzić w swym romówcy jakiegoś przykrego uczucia. — Zadaje mi pan pytania, na które właśnie pragnę odpowiedzieć. Do tego dażę.

— Mieszkam, jak to już wspominałem, na wysepce Grim, daleko na morzu, a pan zamieszkuje ład stąły, więc pewnieby się niewiele o pana troszczył, gdyby nie moja matka. Wierzy ona w sny i przeszłej zimy, trzynastego lutego z rana przyszła do mnie z prośbą, żebym się wybrał na ład, bo się jej coś przykrego śniło o naszych krewnych, parze starszków, którzy mieszkali pomiędzy pagórkami, w małej chałupce oddalonej od szosy i sąsiadów. Uczyniłem zadość jej prośbie, i stąd pochodzi, że pierwszy przyszedłem na miejsce zbrodni. Muszę przyznać, że był to widok tak straszny, iż obudził we mnie tam zaraz na miejscu myśl, że jego sprawca powinien zostać koniecznie uwięziony na całe życie. Podałem więc projekt, aby zrobiono składkę i złożono te pięć tysięcy marek.

Mówiąc to, przysunął się bliżej do oskarżonego i głąskał go po rękawie. Nie chciał bowiem, aby Lamprecht miał wrażenie, że ma ku niemu osobistą niechęć.

Więc to tak, jakby chodziło naprzykład o lwa, który się wydostał z klatki i któregooby chciano dostać znowu za sztachety.

Nie można powiedzieć, aby oskarżony spoglądał na Swena zupełnie bez obawy. Niepokoił go każdy, zarówno sędzia, dozorca, świadkowie i komisarz. Ale ten wydawał mu się najmniej niebezpiecznym, chwilami nawet śmiesznym. „Taki jeden, co to chce wszystkim

rcbić dobrze, taki przyjaciel ludzi", powtarzał sobie w duchu.

— Teraz wreszcie coś niecoś zrozumiałem, — odezwał się po chwili, to wpadło panu do głowy, że możnaby ją zużytkować za przynętę, żeby nieszczęśliwego człowieka z powrotem pozbawić swobody.

Roześmiał się Swenowi w oczy.

Lew woli swobodę i nie zwraca uwagi na kawałek mięsa, który mu położyli.

— Dziękuję, — rzekł Swen Elverson ze swym najłagodniejszym uśmiechem. — To co pan powiedział, naprowadza właśnie na to, o czym chciałem z panem mówić. Widzi pan, przeszłego lata zajmowałem się pewną budową nie dla mojej korzyści i sprowadzałem kamień z tych stron, z kamieniołomu w rybackiej wiosce obok Knapjefjordu, gdzie właśnie jesteście. Miałem więc trochę styczności z okoliczną ludnością. Poznałem między innymi pewną młodą kobietę, Julję Lamprecht. Nazwisko wydawało mi się dość niezwykle i przypominałem ją sobie, kiedy wyczytałem w piśmie o panu.

Oskarżony podniósł się i poczuł znowu dreszcz, przebiegający go wzdłuż grzbietu. Twarz mu drgnęła, i oczy błyszczały. Widać było, że się w nim coś buntowało. Prawda, że chodził wszędzie i szukał swojej córki, ale wcale nie z tęsknoty, tylko dlatego, że miał nadzieję, iż może się jej nieźle powodzi, a wtedy mógłby mieć domowe ognisko.

Zepchnął brutalnie Swena Elversona z posłania i stanął w pośrodku pokoju.

— Czy ona jest tutaj? Chciałbym ją widzieć, — rzekł.

Ton, w jakim to powiedział, wskazywał, że ani na chwilę nie wątpił, by wyrażone życzenie nie zostało spełnione. Lecz Swen Elverson odmówił.

— Zobaczysz ją pan i będziesz siedział i rozmawiał, jak w tej chwili ze mną, — rzekł pokornie i łagodnie, lecz nie bez pewnej stanowczości. Ale nie stanie się to przedtem, zanim nie wypełnisz pozostawionego papieru. Uważasz nas zapewne za ludzi złych, kiedy rozdzielamy ojca z córką, ale — trudno. Nie zobaczysz się z nią, o ile nie odpowiesz na wymienione pytania.

Oskarżony zaczerwienił się z gniewu. Nie przywykł do spotykania się z odmową, gdy chodziło o takie niewinne życzenia. Od czasu, gdy go zaarrestowano, obchodzono się z nim bardzo ostrożnie. Chciano pedtrzymać go w dobrem usposobieniu, by zasmakował w swoim barłogu i przyznał się wkońcu do winy, coby pozwoliło skarać go na dożywotnie więzienie.

Napadła go ochota zmaltretowania w jakikolwiek sposób Swena Elversona, ale zapanował nad sobą. Padł piersiami na posłanie i ukrył w niem twarz, którą poruszały konwulsyjne drgawki. Sam nie wiedział dlaczego, ale zdawało mu się, że będzie lepiej, jeżeli ukryje swoje wzruszenie.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, że się zaczynasz namyślać. Muszę zauważyć, że Julji Lamprecht nie powodzi się dobrze bynajmniej. Matkę straciła bardzo wczesnie i, że tak powiem, wychowała ją ulica. Przybyła tutaj w towarzystwie robotnika z kamieniołomu, którego nie była żoną. Wśród tej sfery ludzi zdarza się to często i nikt na takie rzeczy nie zwracał uwagi. Ale kilka dni temu, gdy się ten człowiek dowiedział, że Julja jest pańską córką, opuścił ją. Powiedział, że poczuł do niej wstręt. A Julji szkoda, bo mimo tak smutnych okoliczności, w których się wychowała, wyrosła na kobietę bardzo dobrą. Ponieważ jest ładna, podobna do pana, więc znajdzie się niewątpliwie ktoś drugi. Ale czy nie byłoby słuszniej, zamiast gotować

jej tego rodzaju los, wydać ją za mąż za jakiegoś porządnego człowieka? Pięć tysięcy marek, to sumka w sam raz na ten cel dostateczna. Mogłaby sobie kupić jakiś mały domeczek. Więcej nie potrzeba, a mniej byłoby za mało. Jeżeli pan odpowiesz na postawione pytania, będziesz się mógł zobaczyć z Julją i złożyć pieniądze w jej ręce. Jakieby to było szlachetne! Wtedy ona zrozumie serce ojcowskie i pomyśli sobie, że jeżeli nawet ten człowiek dopuścił się złego czynu, jest on mimo wszystko moim ojcem, a ja jego dzieckiem.

Więziem milczał czas dłuższy i rzucał się tylko na posłaniu.

Coś jednakże rwało się w nim do córki. Miała jasne włosy, była ładna i do niego podobna. I siedziała tu może w oczekiwaniu za drzwiami.

Usiadł wreszcie na posłaniu, odsunął kędzior włosów z czoła i spojrzął na Swena z wyrazem stanowczości w oczach.

— Niech mi pan powie, dlaczego właściwie miałbym podpisać, jeżeli powinienem być jutro wolny? — zapytał.

— Prawda, że to byłoby możliwe, — brzmiała odpowiedź, — o ile idzie o sam fakt morderstwa. Ale widzi pan, jest tu pewna mała przeszkoda, ten właśnie szczegół z książeczką oszczędności. Więc od razu napewno pana nie zwolnią. I zanim sprawa przejdzie przez wszystkie instancje, potrwa to co najmniej rok, a może i więcej. A jak na tem wyjdzie Julja? Może się najzupełniej zmarnować. Nie jest to bynajmniej okolicznością tak bardzo korzystną być pańską córką. Obawiam się, że może przechodzić z rąk do rąk. Sumka, którą dajemy, może się stać dla niej rzetelną pomocą. Daj jej pan te pieniądze, a czyn ten pozwoli ci rozmyślać nad nim przez całe życie w sposób, które ci je uczyni znośnem. Będzie zadośćuczynieniem za to,

co ciąży na pańskim sumieniu. Przekonasz się, jak cię będą chwalili w gazetach.

— Cicho! — krzyknął, tupnąwszy nogą oskarżony. — Gadasz pan tyle, że się w głowie mać.

Gość zamilkł natychmiast, a oskarżony stał i przesiłuchiwał swą duszę. Szukał tego przywiązania do córki, które jakby powinno w nim istnieć. Chciałoby go prowadzić za tę miłość ojcowską jak na postronku. Żadano, aby poświęcił całą resztę swojego życia z przywiązania, i on, który nic nie posiadał po za swobodą, miałby się jej wyrzec z uczucia. Ale czy ono w nim wogóle istnieje? Gdy tak stał oto teraz tutaj i szukał go w sobie, nie mógł go odnaleźć. A jednak jest może coś w nim takiego. Lecz to takie nieznaczne. Łatwo to mówić: ofiarować! ofiarować! A czy ten gaduła, co tu przed nim stoi i chciałby go unieszkodliwić, zamykając w więzieniu na całe życie, zdobyłby się na jakąś ofiarę dla tej sprawy?

— Uczynię, jak pan sobie życzy, — odezwał się wreszcie, — ale pod jednym warunkiem. Pieniądze są, ale skąd wziąć dobrego męża? Odpowiem na pytania i podpiszę, ale wtedy jeżeli się pan zgodzi być tym mężem.

Przykre zdziwienie odbiło się na twarzy Swena.

— Tego doprawdy nie oczekiwałem, — rzekł zupełnie cicho.

— Pytam się, czy się pan chcesz ożenić z moją córką? — zapytał drwiąco przestępca. — Ciekaw jestem, co mi pan na to odpowiesz. Chciałbyś i prosisz mnie, żebym unieszczęśliwił siebie, ale sam ze swojej strony nicbyś nie uczynił.

— Przecież ona jest pańską córką. Pan dałeś jej życie. Ja jej nie znam, zamieniłem z nią zaledwie kilka słów, — bronił się Swen Elverson.

— Jak widzę, to nie mogę się spodziewać przychylniej odpowiedzi,—oświadczył więzień.—Nadzwyczajny z pana człowiek, chciałbym mieć takiego zięcia, — zaśmiał się rubasznie.

Swen zasłonił sobie oczy i westchnął ciężko kilka razy. — Rozumiem, — myślał sobie, — kto chce mieć władzę nad innymi, musi się na to przygotować, żeby nie wpaść pod władzę tych, którychby się chciało opanować. Tak jest i będzie zawsze.

Długo i uporczywie przyglądał się człowiekowi, którego miał przed sobą.

— Chciałby się wykręcić — myślał — i wszystko rzucić na mnie. Nie wątpi, że odmówię. Ale tego nie zrbie. Zagnałem go w kąt i przytrzymam.

— Niechaj będzie, jak pan sobie życzysz,—rzekł krótko. — Jeżeli się pańska córka na to zgodzi, gotów jestem zostać jej mężem. Odpowiedz pan tylko i podpis!

Lecz oskażony wątpił.

— Dziękuję panu w imieniu Julji, — rzekł, — ale jak mi pan dasz gwarancję, że dotrzymasz słowa?

— Tego właśnie oczekiwałem i bardzo się cieszę, żeśmy tak daleko zaszli.

— Powinieneś pan wszakże wiedzieć, że w takich miejscach jak to, w którym się znajdujemy, ściany mają zawsze uszy. Więc świadkowie, że przyrzekłem się ożenić z Julją Lamprecht, o ile ona mię zechce, są tutaj. Poza tem jestem wogóle uczciwym człowiekiem i od tego, co przyrzekłem, nie zwykłem się wykręcać. Siadaj więc pan przy stole i pisz!

Więzień w samej rzeczy zasiadł na krześle przy stole, wziął pióro do ręki, umaczał je w atramencie i począł się namyślać.

Podczas gdy tak siedział z piórem w ręku, począł szukać w sobie miłości do córki. Istniała może w jego

sercu, kiedy miał nadzieję, że będzie miał przy niej kawałek domowego ogniska, ale teraz gdy nalegają na niego, by się wyrzekł dla niej swojej swobody — nie mógł jej odnaleźć.

— Nic innego panu nie obiecywałem, jak to tylko, że odpowiem na pytania, — zwrócił się do Swena, wręczając mu papier.

Swen odczytał krzywemi, koślawemi głoskami wypracowane trzy „nie”, pod niemi podpis, a na samym dole dokumentu dopisek:

„Miałem się przyznać, że winien, ale nim nie jestem”.

— Za to nie otrzyma pan przecież pięciu tysięcy koron — powiedział Swen Elverson zupełnie spokojnie.

— Wiem o tem — odparł więzień, — lecz z mojej strony nie dawałem żadnych bliższych obietnic. Miałem dać tylko odpowiedzi na pytania. Ale, że mi się udało wytrzasnąć porządnego zięcia, to mnie naprawdę cieszy.

Staął i wyprostował się zwycięsko.

Swen Elverson zaczerwienił się z gniewu. Pokora go opuściła i zaczął się obchodzić z oskarżonym nieco mniej grzecznie.

Pochylił się nad papierem, żeby go powtórnie odczytać.

— Tak, tego można było się domyśleć. Powiniennem być wiedzieć, jaki z was skończony łotr. Widziałem przecież, jak się obeszli z zamordowanymi. Dlaczegoście im wylupili oczy? — zapytał gwałtownie.

— Ja wylupiłem im oczy?! To nieprawda! To zrobił chyba ktoś inny po mojem wyjściu.

Ugryzł się w język i zamilkł gwałtownie. Zbladł jak trup i, chwając się, oparł plecami o ścianę.

— Dziękuję — rzekł Swen Elverson sucho — wiedziałem, jak należy z panem przystąpić do rzeczy, ale czekałem do ostatniej chwili. Myślałem, że mi się powiedzie dać panu lepsze warunki.

Po chwili miał mordercę u swoich stóp.

— Nic nie powiedziałem, nic nie powiedziałem — jęczał. — Podeszedłeś mię pan! Niechaj to będzie niepowiedziane!

Pełen był rozpacz. Ten człowiek uzbrojony w wielkość wyobraźni, w wymówki i umiejętność zwlekania stał bezradny. Wszystko go opuściło. Wyglądał nędznie, żałośnie.

— Pan wiesz przecie, że mamy tutaj świadków. Uprzedzam pana wszakże, — odezwał się Swen Elwerson.

— Pozwól mi pan jeszcze raz napisać. Proszę o inny papier. Teraz się przyznam. Usłyszycie wszystko. Zrobię to dla Julji.

Swen Elverson podniósł nieco głos.

— Podrzemy zatem ten papier, a gdy świeży będzie należycie wypełniony i podpisany, to będę uważał, że tutejsze ściany są pozbawione uszu. Zaczniemy więc jak gdyby na nowo od tej chwili, w której pan usiadł do wypełnienia dokumentu. Juljuszu Marcinnie Lamprecht, godzina jeszcze nie upłynęła i masz pan jeszcze czas złożyć zeznania z wolnej i nieprzymuszonej woli.

*

* *

Wkrótce potem siedział mieszkaniec więzienia przewencyjnego w krześle, zupełnie w swym wyglądzie zmieniony. Czynił wrażenie człowieka gruntownie wymytego w kąpielu, choć żadnego zewnętrznego mycia

z nim nie przedsięwzięto. Przyznał się. I to nie tylko formalnie, odpowiadając pisemnie na dwa pierwsze pytania, wyluszczone w podanym mu świeżo papierze, a tem samem i na ostatnie; ale złożył także otwarte, szczegółowe zeznania ustne.

Był zmęczony do najwyższego stopnia, i gdyby go nie byli posadzili w krześle, byłby niezawodnie upadł na podłogę. Ale jednocześnie 'czuł się' szczęśliwym i zadowolonym. Był oczyszczony i obmyty z grzechu. Nie było mu nigdy tak lekko na duszy od czasu swej pierwszej komunji.

W celi znajdował się nie tylko sędzia ale i członek Rady Sądowej, Swen Elverson i Julja Lamprecht. Więziń kochał ich wszystkich, a najwięcej córkę, której wręczył przed chwilą pięć tysięcy koron. Przypatrzył się z zadowoleniem jej urodzie. Miała śliczne, jasne, kędzierzawe włosy i skromny, spokojny wygląd. Nie miał jeszcze sposobności, porozumienia z nią sam na sam, ale zgodnie z obietnicą sędziego będzie mogła pozostać z nim w celi jak długo zechce po wyjściu innych.

Od czasu do czasu spoglądał na człowieka, który zmusił go do przyznania się do winy, i zastanawiał się nad tem, jak bardzo ten człowiek wzbudza politowanie. Stał oparty o ścianę celi z zapadłą twarzą, czołem ponuro zmarszczonem i wzrokiem utkwionym w podłogę. Sam jego wygląd wzbudzał współczucie, a morderca widział, że go najlepiej ze wszystkich tu obecnych rozumie.

On morderca — przyznał się do winy, odpokutuje za nią, lecz ten tu oto człowiek nie będzie nigdy obmyty z hańbiącej plamy, która do niego przyłgnęła.

Morderca widział, jak sędzia i wszyscy słudzy sprawiedliwości ściskali rękę Swena Elversona i dziękowali mu gorąco. Szczególniej sędzia był rad, że

mógł wydać wyrok bez wahania. Tem nie mniej Swen Elverson był ponurym i pokornym jak poprzednio. Pokora jego była nawet jeszcze większa. Wyglądał jak ktoś, kto sam do siebie żywi nienawiść.

Kiedy Julję Lamprecht wprowadzono do celi i kiedy po wręczeniu jej tych pięciu tysięcy koron wystąpił Swen Elverson i oświadczył, że wedle danego przyrzeczenia gotów zostać jej mężem, ona odpowiedziała: nie! Wiedziała, kim ten człowiek był. Być jego żoną — nigdy!

Swen Elverson przyjął tę odmowę z wielką goryczą. Cofnął się, nie odpowiedziawszy ani słowa. Chwiejąc się na nogach, doszedł do ściany i tak pozostał. Czuł się zupełnie przybity. Morderca był pomiszczony.

Uczyliła to córka, którą po raz pierwszy zobaczył. Byli z sobą jednej krwi. Jakże ją za to kochał!

Nie żałował zupełnie, że się przyznał. Czuł się lekkim, czystym, szczęśliwym, szanowanym prawie. Nieomal człowiekiem honorowym! Miał córkę, którą kochał, i która go będzie kochała całe życie, ponieważ ofiarował dla niej swą wolność.

Faktyczne przyznanie się do winy usunął ze swych myśli, wykreślił ze swej pamięci. Był człowiekiem pragnącym się wydać sobie w odpowiednim świetle. Ułożył już sobie piękną historję, jak to jedynie dla tej córki przyznał się do winy i dla niej błagał Boga i ludzi o przebaczenie. I przez całe życie będzie poetyzował na ten temat, będzie wierzył w ten piękny epizod swojego życia i on będzie stróżem jego duszy w przeciagu tych ciężkich lat, które go czekają.

CZEŚĆ II

LOTTA HEDMAN

Pewnego pięknego dnia w końcu 1915 r. zdążyła pociąg w kierunku z północy na południe Szwecji. W przedziale trzeciej klasy siedziała prosto i ubogo odziana młoda kobieta w czarnej sukni i w czarnym prawie zupełnie pozbawionym ozdób kapeluszu i rozmawiała z towarzyszkami podróży. Często podnosiła głos, a że był z natury trochę krzykliwy, więc słyszano ją w całym przedziale. Odbывała podróż najwidoczniej po raz pierwszy w życiu, i ta niezwykłość krażenia po świecie obok możności obcowania z miłymi ludźmi wprowadzały ją w pewien rodzaj ekstazy. Wszystko, co tkwiło w niej przez szereg lat zamknięte, wydobywać się zaczęło nagle na powierzchnię. Nie przestawała mówić o sobie, jakby nie chcąc wypuścić z rąk sposobności, dającej możność wtajemniczenia ludzi w to wszystko, co dotyczyło jej osoby, a głównie misji, do spełnienia której czuła się powołaną.

— Niczem nie studjowałam, prócz Nowego Testamentu, — mówiła. — Moja głowa nie jest obciążona wiedzą ani oszołomiona herezjami. Jestem jak czysty papier, jak biała karta, na której jedynie Bóg wypisał swe myśli. Urodziłam się daleko na północy, aż w Laponji, w jednej z tamtejszych wiosek. Nie mam

ani męża, ani dzieci, jestem biedna i samotna, a na życie zarabiam w fabryce pudełek. Nikt o to nie pyta, czy żyję, czy umarłam, nikt mnie nie pielęguje, kiedy jestem chora i nie mam nawet z kim porozmawiać i porozumieć się w razie, gdyby zaszło coś ważniejszego. Wiem, że ludzie drwią sobie ze mnie za moimi plecami, więc nie pokazuję się nikomu i dziczeję.

Uprzejma pani, która siedziała naprzeciwko i pierwsza z nią wszczęła rozmowę, położyła uspakajająco dłoń na jej kolanach, ale młoda kobieta nie przedstawiała mówić, jakby pędzona jakąś wewnętrzną siłą.

Przez całe życie prześladowała mię śmierć, jak ten wściekły wilk. Tyle razy mnie napadała. Chciała mnie zabrać zanim jeszcze opuściłam macierzyńskie łono. Nasłała jakiegoś warjata, który tak przestraszył moją matkę, że za prędko przyszedł na świat nędzna i słaba. Raz chciała mię utopić podczas kąpeli, to znowu przewróciła na mnie drzewo w lesie, to kazała mię wężowi ugryźć w nogę, kiedy zbierałam jagody, a kiedyindziej znowu zrzuciła mnie z rusztowania. Chorób zaś zsyłała na mnie bez liku.

Teraz słuchała jej nie tylko uprzejma pani, ale i wiejska kobieta wraz z siedzącym obok niej mężem, śledzili uważnie jej słowa. Sposób jej mówienia przypominał im misjonarskie kazania i pogrążał ich w zamyśleniu.

— I pewnego razu w latach mojej młodości, — prawifa dalej ta kobieta, mogąca mieć najwyżej dwadzieścia pięć do dwudziestu sześciu lat, — wyciągnęłam do Boga i zapytałam Go, jakie prawo dał śmierci, żeby mnie tak prześladowała ranami, chorobami i ciosami. Ale teraz już więcej o to nie pytam, zrozumiałam bowiem, że surowy Władca biczował mię dla tego, bo przez moje usta będzie mówił On sam, ażeby pokłonić złośliwość śmierci.

Wstrzymała na chwilę oddech, obejrzała się dokoła, a widząc kilka par oczu spoglądających na nią przychylnie, ciągnęła dalej:

— I zapytywałam siebie, jaka też może być przyczyna, która zmusiła mnie do mieszkania na tak dalekiej północy, i dlaczego stąpam zawsze po jednej i tej samej drodze i nie będę widziała nigdy pięknego świata. Dlaczego nie posiadam więcej rozumu, któryby mi dawał zadowolenia, i dlaczego nie mogę się cieszyć tem, czem się inni cieszą? Dlaczego mój zwierzchnik w fabryce nie powie mi nigdy uprzejmego słowa, jak gdybym źle wykonywała robotę i dlaczego mam tak dużo trudności w zdobywaniu dla siebie mleka i muszę mieszkać w komórce, którą nikt inny zamieszkiwać nie chce?

Teraz już się temu nie dziwię. Powinam się bowiem cieszyć, że mnie nie wysłał do lasu, lub kazał zamieszkiwać na jakiejś skale, albo w jakimś laponiskim szałasie i jeździć renami. Powinam się cieszyć i być zadowolona, że, mimo wszystko, mieszkam wśród ludzi.

Teraz słuchały młodej kobiety nie tylko trzy najbliższej siedzące osoby, ale i te, które siedziały dalej, wstały, by ją lepiej słyszeć.

— Co ona mówi? — szeptano. — Kto tak krzyczy, że się rozlega po całym wagonie? — Czy to ktoś może z Armji Zbawienia?

— Bo Bóg chce wyłącznie dla siebie osiąść moje myśli, — mówiła dalej młoda czarno ubrana kobieta. — Chce, żebym się pogrążyła w rozmyślaniu, żebym umiała objaśniać „Daniela” i „Ezechiela” i czerpać wiedzę z „Księgi Opatrzności”. A wieczorami, kiedy inni chodzą na tańce lub inną zabawę, siedzi Lotu

Hedman nad Ewangielją i szuka Słowa Bożego, a wtedy staje się zrozumiałem to, czego inni pojąć nie mogą.

Szept podziwu przenosił się z jednego końca wagonu na drugi. Młoda kobieta zauważyła to, i podziw ten pobudzał ją i popychał dalej. Nawet wtedy, kiedy chciała, nie mogła się zatrzymać i musiała dopowiedzieć do kropki. Tak długo milczące wargi poruszały się chcący i nie chcący.

— I w noc zimową, kiedy cała Szwecja śpi, kiedy światła pogasły i wielki biały kraj spoczywa, siedzę w mojej izdebce, której nikt inny zamieszkać nie chce, i widzę palec boży, wskazujący mi jedno słowo za drugim. Widzę wtedy, co się stanie z tymi, co śpią w noc zimową, i wówczas ja maluczka, wzgardzona, a nie żaden z wielkich ludzi, stoję się jasnowidząca.

Podnosiła głos coraz bardziej. Uprzejma pani położyła znów rękę na jej kolanie, a konduktor, obchodzący wagon, zatrzymał się, by się przekonać, czy to może któryś z pasażerów dostał pomieszania zmysłów.

— I wszystko, com spostrzegła i zauważyła, spisałam i posłałam królowi w zapieczętowanym liście. I poszło pismo do wielkiego zamku w Sztokholmie od maluczkiej robotnicy w Stenbrutresku, od tej, którą chłopcy wytykali palcami na ulicy, którą szczuli jak szczują owczarkami wilczyce.

Długo czekałam na odpowiedź króla, ale nie nadeszła. Zapytywałam o losy mojego listu, ale gazeta, nie troszcząc się o niego wcale, odesłała mi go z powrotem.

Więc ogarnął mnie wielki niepokój, ponieważ wiedziałam, jak wielkiej wagi jest mój list. Wiem wszakże, kiedy się skończy wojna, i że po niej nastąpi wiel-

kie zniszczenie świata, a potem wielkie zbawienie. Wiem o tem przecież, że jedna trzecia część ludzi wyginie przez wojnę, druga zaginie w zniszczeniu świata, a trzecia ostatnia żyć dopiero będzie pogodzona z Bogiem w jego państwie.

Te z wielką siłą wyrzucone słowa przeszły słuchaczy jak zimna stal; poczuli mrówki wzdłuż kręgosłupa. Gdyby taka mowa została wygłoszona kilka lat temu, byłaby oczywiście wyśmiana. Lecz wojna trwała już wszakże drugi rok, a ludzie pogrążeni byli w oczekiwaniu i w obawie. Nikt nie miał spokoju. Nie minęło dnia, żeby nie kombinowano z przestachu, czem i w jakich celach zajęci są Rosjanie koło Hoperandy.

— O tem wszystkiem napisałam do króla i dałam mu radę, jak ma postąpić, żeby Szwedzi uniknęli złośliwej pory i jak powinniśmy się zasługiwać Bogu, by się dostać do Królestwa Bożego.

I prosiłam Boga o radę, jak wysłać mam mój list w świat, bo nikt z ludzi poradzić mi nie chciał. I Bóg powiedział mi, jak mam postąpić. Popęłniłam jeden grzech, który winnam odpokutować, zanim list mój roześlę między ludzi. I w tym właśnie celu odbywam podróż i jadę na południe.

Napięcie w wagonie rosło coraz bardziej. Ta osoba wiedziała to, o czem każdy pragnął wiedzieć — kiedy się skończy wojna. Głos z dalszych ławek zapytał: „kiedy się skończy wojna?” A inne mu wtórowały: „Kiedy będzie koniec?” „Jeżeli pani wie, to niech pani nam powie!”

Niebezpieczeństwo trwało ciągle i zdawało się bliżkie. Może wreszcie zniknie, gdy się skończy morderstwo w dalekim świecie. Może człowiek zacznie myśleć o czem innym, jak tylko o wojnie, bo teraz myśl

zwraca się ciągle ku starszym kobietom w żalobie, wystraszonym emigrantom i sponiewieranym jeńcom.

Chłopi myśleli o tem, kiedy przestaną wysyłać synów do obrony neutralnych granic; drobni kupcy, którzy na początku wojny dorobili się majątków, zagrożeni obecnie brakiem towaru trapiłi się; robotnicy widzieli zbliżającą się drożyznę i brak żywności; i wszyscy pytali chórem: „kiedy się to skończy, kiedy będzie koniec tej niedoli?”.

Jasnowidząca ze Stenbrutresku jakby nie oczekiwała takiego wrażenia swej mowy.

— O tem wszystkim napisałam w mym liście! — wciąła. — O tem się dowiedcie, jak odpokutuję mą winę, i Bóg pozwoli, że się mój list rozejdzie po świecie.

Zainteresowanie upadło. Ta osoba nie wiedziała więcej, niż inni. Wszyscy zajęli swe miejsca napowrót.

Ostatnich jej słów nie słuchano. Nie dotarły do nikogo, prócz do tej pani, która wszczęła z nią rozmowę.

— Nie mam czasu pisać, jak tylko w nocy, — mówiła młoda robotnica, — po ukończeniu mojej roboty, kiedy moje zeszywniałe palce poruszają się leniwie; zresztą — trudno mi pisać po szwedzku. Bo przecież nie takim językiem rozmawiamy między sobą. Pisanie nęczy mnie ogromnie.

— A żyję w wielkiej biedzie, — ciągnęła dalej. — Jestem biedna, chorowita i samotna. Mieszkam w mieszkaniu, którego nikt nie chce. Drzę na samą myśl o tem, jak to będzie.

Zauważyła, że zainteresowanie zupełnie znikło. Głos jej osłabł i opanowała ją senność. W końcu mówiła już tylko szeptem. Opuściła powieki, i tylko ci, co siedzieli najbliżej, rozumieli, co mówi.

— Proszę Boga, żeby mi oszczędził życia, abym mogła doczekać tego, by należeć do wybranych. Proszę Go, by mię raczył zaliczyć do tej ostatniej trzeciej części ludzkości, i żebym ja, która zostałam przeznaczona do zwiastowań wśród złorzeczeń, ostała się i znalazła się w Królestwie Bożem z resztą wybranych i ujrzała kiedyś świat, promieniejący sprawiedliwością.

PIĘKNA MUZYKA

Długi pociąg dążył dalej z północy na południe, od stacji do stacji. Część towarzyszy podróży wysiadła po drodze, nie było już w przedziale ani wieśniaka z żoną, ani uprzejmej pani, która pierwsza wszczęła rozmowę z Lottą Hedman. Miejsce jej w wygodnym kąciku zajął młody człowiek o wyglądzie misjonarza. Był on już poprzednio w wagonie, lecz miał bardzo niewygodne miejsce na środku ławki i pośpieszył je zmienić.

Ten młody człowiek wdał się natychmiast w rozmowę z Lottą Hedman. Zapytał ją, czy miewała widzenia jeszcze przed wojną, czy też stała się jasnowidząca już podczas jej trwania. Miał miły, cichy, bardzo sympatyczny głos, a wyraz jego twarzy nie zdradzał ani wiary ani niedowierzania w to, co słyszał. Niektórych irytował jego sposób mówienia, tak dalece wydawał im się pokornym, ale Locie Hedman podobało się, że jej osoba w chwili, kiedy po raz pierwszy dała ludziom poznać siebie, była w ten sposób traktowana.

— Bardzobym pragnął się dowiedzieć, jakiego rodzaju były widzenia, które pani miewała, — zwrócił się do niej młody mężczyzna.

— Nie wiem jednakże, czy to właściwe, ze strony człowieka zupełnie nieznanego, że śmie o to pytać. Lecz zapewniam panią, że uważałbym to za wielki zaszczyt.

Nie mogła się oprzeć w ten sposób wyrażonej prośbie i zaczęła opowiadać, jak to po raz pierwszy zdarzyło się jej coś dziwnego. Głos jej nabrał spokoju i podnosił się tylko chwilami, przyczem zyskała kilku słuchaczy, ale widocznem było, że młody człowiek z przeciwka hamował jej porywy.

— Miałam wtedy zaledwie piętnaście lat, — zaczęła, — i dopiero co wyzdrowiałam po ciężkiej chorobie, którą mi nasłała moja prześladowczyni, śmierć. Lecz byłam jeszcze bardzo osłabiona. Nie mieszkalam wtedy sama, tylko u rodziców, którzy byli wprawdzie biednymi wieśniakami, ale mając na względzie moją wątłość nie pozwolili mi zarobkować. Załatwiałam tylko drobne sprawunki dla mojej matki i czytałam codziennie po jednym rozdziale Pisma Świętego.

Wtedy nie istniała jeszcze w Stenbrutresku fabryka, więc nie było domów robotniczych, i nie zanościło się nawet na jakąś większą osadę. Po naszej stronie rzeki było zaledwie kilka wiejskich dworców, a kościół, plebanja i większe zagrody włościańskie, znajdowały się jak teraz, po drugiej stronie.

Pewnego niedzielnego wieczora prosiła mnie matka, abym się przeprawiła przez rzekę i zawiozła na plebanję mleko, ponieważ w lecie wszystkie tamtejsze krowy znajdowały się daleko na pastwiskach, i nie miano wcale mleka na miejscu.

Wsiadłem do łodzi i kiedy zaczęłam wiosłować w stronę plebanji, dziwiłam się, że to mi szło tak wyjątkowo łatwo. Nie czułam żadnej ociążałości ani zmęczenia. Jakby jakiś ciężki dębowy kłoc stał się nagle lekkim, jakby się woda przemieniła w oliwę, a wiosła w wolne skrzydła. A taka przedziwna cisza panowała dokoła. Ani wiosła nie skrzypiały na swych podporach, ani nie było słycać szmeru wody lub głosów z wybrzeża. Ani dzwonięcia dzwoneczków z pa-

stwisk, ani gwaru bawiących się nad wodą dzieci. Nawet jaskółki, które zbudowały sobie gniazdko w skalistych brzegach rzeki, nie zataczały kół nad swemi siedzibami. Znikły gdzieś zupełnie, i nie wiedziało się nic o ich istnieniu.

Kiedy już byłam po drugiej stronie i wziawszy dzban do ręki, zaczęłam wchodzić na wzgórze, na którym stała plebanja, iść mi było dobrze, mimo, że droga była piekąca, i słońce nie prażyło, choć prosto świeciło w oczy, a dzbanek wydawał mi się zupełnie lekkim.

Pomyślałam sobie, że mnie tam pewnie oczekują z niecierpliwością i że mnie spotka chyba coś dobrego, skoro mnie się nigdy tak dobrze i lekko nie szło po tej drodze.

W kuchni również panował dziwny spokój. Nie było nikogo, komubym mogła mleka doręczyć, więc stanęłam we drzwiach, czekając aż ktoś przyjdzie.

W tej samej chwili zaczęły mię dochodzić dźwięki muzyki z górnego piętra i to tak wyraźnie, jak gdyby grano tuż obok. Były to jakieś przecudne melodje. Cieszyłam się, że służące i gospodyni gdzieś sobie poszły, i że mogę być sama i słuchać. Wcale mi się nie spieszyło do domu i zdawało mi się, że mogłabym tak stać i słuchać noc całą do samego rana.

Do tej pory nie znałam innej muzyki, jak na klawikordzie lub starych organach kościelnych w Stenbrutresku i zadawałam sobie pytanie, co też to może być za instrument, na którym grano. Melodje były mi również nieznanne. Tę jak lawiny mocne unosiły się w powietrzu — wyraźne i bogate. Zdawało mi się, że czuję ich pieszczoty na twarzy.

A podczas gdy tak stałam wsluchana, ogarnęły mię jakieś niecodzienne, podniosłe myśli. Miałam wrażenie, że zostałam oderwana od ziemi i że się wznoszę powoli ku niebu, do Boga.

Wtem weszli ludzie do kuchni i muzyka ucichła.

Gospodyni wypróżniła dzbanek, nałożyła na talerz jedzenia i postawiła przede mną, zapraszając bym jadła. Mieli dziś na plebanji pogrzeb, umarła matka proboszcza, zjechali się goście, i trzeba było urządzić przyjęcie. Więc niechaj i ja zakosztuję resztek.

Jej zyczliwość i uprzejmość ośmieliły mnie, nabrałam odwagi i zapytałam, kto tak pięknie grał na górze.

Gospodyni była tak zdumiona, że nie była w stanie odpowiedzieć mi natychmiast.

— Co mówisz, dziecko? — odezwała się po chwili. — pianino stoi na drugim końcu mieszkania, i nawet kiedy na nim grają, my w kuchni nic nie słyszymy. A któżby zresztą grał dziś, w dniu, w którym starszą panią chowano?

W kuchni zapanowała ponownie cisza. Co do mnie wiedziałam napewno, że słyszałam muzykę, lecz nie chciałam nalegać.

Gospodyni stała zamyślona przez chwilę, poczem zaczęła na nowo przemawiać do mojego rozsądku.

— Nad kuchnią właśnie był pokój starszej pani, więc któżby śmiał grać tutaj dzisiaj. — Zbierało mi się na łzy, bo miałam wrażenie, że gospodyni posadza mię o kłamstwo. Chciałabym była uciec, ale nie mogłam tak uczynić, dopóki nie zjadłam tego, co miałam przed sobą na talerzu.

I w tej chwili, kiedy pragnęłam znajdować się o sto mil od plebanji, uchyliły się nagle drzwi, i ukazała się w nich głowa proboszcza, który zapytywał, czy nie wiedzą o tem, że już dzwoniło na wieczorne pacierze.

W kuchni powstało zamieszanie i zaczęto się tłumaczyć.

— To ta dziewczynka, co tu siedzi, Lotta Hedman, tak nas zatrzymała, żeśmy zapomnieli o wszyst-

kiem. Powiedziała, że kiedy weszła tu do kuchni, słyszała, że grano na górze. Nikt z nas nie mógł tego pojąć, żeby można było grać u nas w domu, dziś, w dzień pogrzebu.

— A ja biedna, wysmiana dziewczyna, nie wiedziałam co począc. Odłożyłam nóż i widelec, odsunęłam talerz i zabierałam się do wyjścia.

— Ach tak, — odezwał się pastor, to podziękujmy wszyscy Bogu, za tak wielkie błogosławieństwo, które na nas zesłał. Wiedziałem, że matka prześle mi jeszcze jakieś pozdrowienie, na jakie tylko stać ją będzie. Nie opuściłaby mnie tak na zawsze, nie pozostawiając mi drogowskazu, któryby żył i przyświecał mi w ciemnościach i niepewnościach życia.

Podszedł do mnie i położył mi rękę na głowie.

— Tak, więc ty jesteś jedną z wybranych, — rzekł. Jesteś z tych, które niosą żywym pozdrowienia od umarłych. Może jeszcze kiedyś przemówi Bóg przez twoje usta.

Nie powiedział nic więcej, tylko spojrzął mi głęboko w oczy, westchnął i odszedł.

A kiedy się przeprawiałam napowrót przez rzekę, myślałam o tem, co mię spotkało. Zdawało mi się, że się przemieniłam i że już nie będę taką jak poprzednio.

I tak po raz pierwszy otrzymałam dziwną wskazówkę, iż należę do wybranych, którzy słyszą i widzą to, co jest tajemne i ukryte dla innych, choćby byli uczonymi.

I uwierzyłam wtedy, że jestem posłannikiem Boga — prorokiem, o jakich czytałam w Starym Testamencie. Sądziłam, że wygłoszę kiedyś słowa, które trwać będą tak długo, jak niebo i ziemia. Myślałam, że będę wyniesiona ponad innych i nie sądziłam, że będę tylko biedną robotnicą w fabryce pudełek.

KOLEŻANKA

Obcy młody człowiek podziękował serdecznie Locie Hedman za opowiadanie.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że to właśnie dziś wypadła mi podróż, — powiedział. — Ach, gdyby człowiek mógł częściej słuchać boskiej muzyki, o ileby mu lepiej było na świecie.

Po tem spostrzeżeniu wtulił się do swego kącika i nasunął kapelusz na czoło. Lotta Hedman była przekonana, że nie miał zamiaru zasnąć, ale chciał tylko zastanowić się głębiej nad tem, co usłyszał.

Po chwili wzięła ją chętka porozmawiania z nim jeszcze trochę. — Pomów z nim o Sigrun, poradź się co do celu twej podróży, — nakłaniał ją głos wewnętrzny. — Po co właściwie mówić z tym człowiekiem. obcym dla niej i dla mnie? — przeczyła znowu sama sobie. — Spójrz tylko na niego teraz, gdy mu się zsunął kapelusz na bok. Musi być dobry i miał zapewne sam dużo przejść w życiu. Widać, że ma pokorne serce i że kogokolwiekby spotkał, choćby największego grzesznika, uważać go będzie zawsze za wyższego od siebie. Z tym człowiekiem można mówić o wszystkim. Pomów z nim o Sigrun.

— Bądź lepiej ostrożną, Lotto! Nie jesteś przecież w Stenbrutresku, gdzie wszystkich znasz. Skąd wiesz, że ten człowiek jest takim wyjątkowym? A może właśnie w tej chwili wysmiewa cię w myśli?

Pociąg toczy się dalej i toczy. Ludzie wchodzą i wychodzą. Na jednej z większych stacji, będącej węzłem kolejowym, wysiedli prawie wszyscy, prócz Lotty Hedman i siedzącego naprzeciw niej mężczyzny. W chwilę potem, gdy zostali sami, młody człowiek wyprostował się, poprawił kapelusz na głowie i zaczął mówić, a z tego przebijało, że był pogodny i mądry, a nadewszystko uprzejmy, pokorny i łagodny. Ta jego łagodność była głównym powodem, że budził takie zaufanie we wszystkich, którzy się z nim zetknęli. Wystarczało przebywać pięć minut w jego towarzystwie, aby się odczuwało chęć powierzenia mu wszystkich swoich trosk.

— On zrozumie moje cierpienia, — myśleli ci, którzy się z nim spotykali. Miło będzie z nim pomówić. On wie, jak ciężko jest żyć na świecie.

To też Lotta Hedman zaczęła wkrótce opowiadać mu o fabryce pudełek w Stenbrutresku i o panujących tam warunkach życia robotniczego.

— Chciałabym zasięgnąć u pana rady w pewnej kwestji, — powiedziała mu potem. — Mam troskę, a pan wie, że jestem sama i że nie mam nikogo, u kogo bym mogła zasięgnąć rady.

— Niech pani nie prosi o radę, bo nie wiem, czy bym potrafił jej użyzyć, ale niech pani powie, co jej ciąży na sercu. Pani opowiada tak ładnie, a droga wszak długa.

— Jadę do prowincji Dala. Jeszcze dwa dni muszę jechać, zanim przybędę do domu.

— A więc było tak, — zaczęła Lotta Hedman. Byłam kiedyś najlepszą przyjaciółką najstarszej córki proboszcza z Stenbrutresku. Byłyśmy koleżankami.

Zatamowało jej głos i zaczerwieniła się po uszy.

— Nigdy nikogo nie kochałam tak bardzo jak ją, ciągnęła dalej po krótkiej z sobą walce. Młody czło-

wiek siedział spokojnie. Nie starał się przyspieszyć tempa opowiadania. Przeciwnie, zdawał się być przybitym.

— Muszę panu opowiedzieć, jak się zaczęła ta nasza przyjaźń, aby dać panu wyobrażenie, jaką ona była.

— Proszę bardzo, — rzekł. — Niech się pani nie spieszy. Tyle czasu mamy przed sobą.

Kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, zdarzyło się raz podczas pauzy, że kilkanaścioro — może jedenaścioro lub dwanaścioro dzieci zgromadziło się w ogródku cmentarza i rozprawiało o jednym rozdziale katechizmu. Przypominam sobie dokładnie, że jeden z chłopców powiedział, że przecież Bóg nas stworzył, kocha wszystkich ludzi, więc powinien być z każdego zadowolony.

Cała ta paczka dzieci składała się z najmłodszych i najbiedniejszych w okolicy. Zamożniejsze spacerowały sobie małymi grupkami po alejach cmentarza, przystawały chwilami i zbierały się dokoła najstarszej córki proboszcza, która się razem z nimi uczyła tego roku. Była piękna i miała coś w sobie dziwnie pociągającego.

Nam jednak, pojmuje pan, zdawało się, że córka proboszcza nikogo z nas lubić nie może i pocieszał się się rozprawianiem o jakimś rozdziale katechizmu.

— Jeżeli byśmy byli tacy jak ona, — powiedziałam, toby Pan Bóg był napewno z nas zadowolony.

Ponieważ mówiłam o córce proboszcza, więc wszystkie dzieci odwróciły się i spojrzały w jej stronę.

— Ach, gdyby pan wiedział, jaka była piękna! Miała ciemne, miękkie włosy, które się wiły w drobnych loczkach dokoła skroni i w miękkich puklach spadały na szyję. Twarz miała pociągłą o delikatnych

rysach, bardzo długie rzęsy, a oczy, gdy się w nie spoglądało, były głębokie jak studnia.

Wydawała się, jakby ulepiona z lepszej gliny, niż wszyscy inni. Przeźroczysta była jak jagoda, a gdy szła, miała zwyczaj pochylać na bok swoją śliczną główkę, z czem, uważaliśmy, było jej bardzo do twarzy.

Mężczyzna, siedzący naprzeciwko, ukrył nagle twarz w dłoniach. Ujrzał oblicze ubóstwianej przez siebie kobiety. Widział ją taką, jaką mu się ukazała tam nad morzem; odsłaniał mu się jeden za drugim każdy z jej rysów. Taka dziwnie młoda i pytająca.

— Nazywała się Sigrun, — rzekła Lotta Hedman. Niezwykle miała imię, ale nie tylko imię.

Wtedy właśnie kiedy ją zobaczyłam w słońcu tam na cmentarzu, zrozumiałam po raz pierwszy, dlaczego wzrok mój nie mógł się od niej oderwać.

Była wszak stworzona tak jak my wszyscy. Miała oczy, nos, usta tak jak my, urodzona była na plebanji w Stenbrutresku, a rodzice jej nie byli innymi, niż inni ludzie. Ale kto miał oczy, umiające widzieć, ten nie dał się oszukać. Sigrun posiadała w sobie coś lepszego, niż zwykłą uprzejmość ludzką. Ona była z innego świata.

Mężczyzna, trzymający dotąd twarz ukrytą w dłoniach, wciąż potakiwał głową. Tak, to jest właściwe określenie: „z innego świata”. Zabłąkany ptak z cudzych krajów, który utracił towarzyszy i dostał się do stada ptaków, niedopasowanych do siebie.

— Istnieją bowiem inne światy, — mówiła dalej Lotta Hedman, — poza tym, który widzimy. I właśnie z jednego z takich światów pochodziła Sigrun. Nie wiem, czy pan rozumie, co mam na myśli.

— Owszem, — odrzekł mężczyzna, — rozumiem. Sam widziałem już takiego człowieka z innego świata.

Sądę, że panią rozumiem, — dorzucił skwapliwie w obawie, że mówi ze zbyt dużą pewnością.

— Ukryłam się w kącie pod dzwonnica, — ciągnęła dalej Lotta Hedman. Chciałam zastanowić się nad Sigrun i nad tem, czy ona była zwykłym człowiekiem. Bo jeżeli była niezwykłą istotą, to powinna była wszakże poznać, że byłam wybranką Boga, i że jest mi przeznaczone głosić kiedyś słowo boże. Więc czy nie powinna w takim razie zwrócić się kiedyś do mnie? Czy ta, która jest inną niż inni, nie powinna umieć rozróżnić i lepiej wybierać niż inni?

Ale nie dano mi spokoju. Cała ta gromadka, złożona z kilkanaściorga dzieci, które nie śmiały zbliżyć się do córki proboszcza, podeszła do mnie.

— Tu siedzi Lotta Hedman i płacze, że Sigrun nie chce na nią spojrzeć, — powiedziało jedno z nich.

— Ale pojmujesz przecież, Lotto, że Sigrun nie może zwracać uwagi na taką, która tak wygląda, jak ty, — usiłowała przemówić mi do rozsądku inna. — Spójrzij tylko, jakie masz włosy! Sterczą ci na głowie, jak szczecina!

Siedziałam i słuchałam tego, co mówiły. — Gdyby tylko to nas rozdzielało, myślałam. Ale główna rzecz przecież leży w tej różnicy, że Sigrun pochodzi z innego świata.

— Ty jesteś taka jakaś pokurczona, — mówiły dzieci. Żadna sukienka nie leży na tobie gładko, jak na innych. Masz takie jakieś przenikające oczy i tak krzyczysz jak mówisz.

Poprzednio wcale nie płakałam, ale teraz zaczęły mi łzy napływać do oczu, na skutek surowości w ocenianiu mnie ze strony tych, którzy przyszli mię pocieszać.

Wtem poczułam coś w rodzaju ciepłego, łagodnego światła, które mię otuliło. Było to coś podobnego,

jak gdy w mroźny dzień zimowy, jasny promień słońca zagładnie do ponurej izdebki.

Chłodna łagodna ręka odsłoniła mi oczy, a gdy je podniosłam, zobaczyłam stojącą przedemną Sigrun. Zagadnęła mię z łagodnym uśmiechem, czy nie chciałabym po skończonych lekcjach, przeprowadzić ją na drugi brzeg rzeki. I jakkolwiek wiedziałam, że inne dzieci opowiedziały jej, że jestem chorowita i biedna, i jakkolwiek miałam przeświadczenie, że zbliżyła się do mnie spowodowana jedynie współczuciem, tem niemniej byłam szczęśliwą. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie mię wtedy ogarnęły uczucia, i jak ją pokochałam od tej pory.

I jak ją pokochałam od tej pory! — powtarzał sobie młody człowiek i odczuł muśnięcie warg na swem czole i usłyszał lekki, wesoly śmieszek. — Choć wiedziałem, że powodowało nią tylko współczucie, — szeptał do siebie, i że to tylko dlatego.

— Sigrun, szeptał do siebie nieomal że głośno, dlaczego ukazujesz mi się w ten sposób dziś, teraz? Myślałem, żeś usunął widzenie twoje na zawsze. Dlaczego powracasz do mnie?

— A po obiedzie, gdyśmy wypłynęły łódką, — mówiła dalej Lotta, — zapytała mię Sigrun, czy to ja słyszałam tę piękną muzykę w dzień pogrzebu jej babki, i prosiła, bym jej opowiedziała, jak to było. A ja nie tylko że opowiedziałam jej to, ale wogóle o wszystkim, com widziała i słyszała. Nie ukrywałam nawet tego, że jestem jasnowidząca i że będę kiedyś prorokiem Boga. Nie sztydziła bynajmniej. Powiedziała tylko łagodnie, że się jeszcze z tem nigdy nie spotkała w życiu i że ona chciałaby tylko zostać siostrą miłosierdzia, ale nie taką, która pielęgnuje zwykłych chorych, lecz pragnęłaby być przy zadżumionych lub trędowatych. A gdyby się jej nie powiodło tego prze-

prowadzić, to niechaj by przynajmniej mogła uczyć niewidomych lub mówić niemowe. A najbardziej niepokoi ją obawa, że być może, rodzice nie pozwolą jej temu się poświęcić.

Do dziś dnia nie mogę zapomnieć, jak była piękną, kiedy to mówiła.

Mężczyzna, siedzący naprzeciwko, podniósł na chwilę oczy, które błyszczały radością. — Sprawia mi pani wielką przyjemność swem opowiadaniem. Nie ma pani pojęcia, jak wielką przyjemność.

— Bardzo to miłe z pańskiej strony, bo się obawiałam, że pana zanudzam.

— Proszę, niech pani tak nie myśli. Gdyby mi pani opowiadała bez końca o tej córce proboszcza, nigdyby mnie pani nie znudziła. Po tej przejażdżce łódką pewnie się panie zaprzyjaźniły.

— O tak, — odpowiedziała Lotta Hedman, — zostałyśmy przyjaciółkami od razu. Dopóki trwały lekcje, wyjeżdżałyśmy łódką prawie co wieczór. Niezmiernie lubiła, nie zatrzymując wzroku na żadnym oddzielnym przedmiocie, patrzeć na wybrzeże, przeslizgujące się przed jej oczyma. Nie lubiła jechać ani parostatkiem, ani koleją, ani końmi, ale bardzo lubiła płynąć łódką. Najwięcej jednak marzyła o widoku morza.

Młody człowiek ukrył znowu twarz w dłoniach. Tak, to prawda, — pomyślał. — Oddawna pragnęła zobaczyć morze. Mówiła wszakże sama, że nie mając jeszcze piętnastu lat, już do niego tęskniła. A tego jej pragnienia nie ugasił nikt inny, tylko ja. Przynajmniej raz w życiu zrobiłem coś dobrego.

Locie Hedman nie potrzeba było podniety do dalszego opowiadania. To też nie przerywała sobie bynajmniej.

Myślałam, że po zamknięciu roku szkolnego, nie będziemy się nadal widywały. Tymczasem Sigrun przy-

chodziła, jak zwykle, co wieczór nad rzekę, a ja wyjeżdżałam naprzeciw niej łódką i tak płynęłyśmy godzinami całymi wzdłuż wybrzeży przez całe lato. I ten okres czasu uważam za najlepszy w całym moim życiu.

Młodemu człowiekowi, który siedział naprzeciwko Lotty Hedman wyrwało się z piersi głębokie westchnienie.

— Dlaczego powracasz do mnie Sigrun? — szeptał. Dlaczego powracasz dobra, młoda, piękna i tak niewinna i nieskażona? Staralem się wyobrazić cię sobie jako kobietę starzejącą się, kochającą matkę i oddaną żonę. Dlaczego powracasz do mnie w kwiecie twej młodości.

— A teraz usłyszysz pan o dalszych losach naszej przyjaźni, — prawiała dalej Lotta Hedman. — Minęły cztery lata. Pewnej niedzieli, a było to na wiosnę, siedziałam w domu. Wtem ukazał mi się czerwony dom, we wschodnim oknie izby. Jeden szereg budynków występował za drugim. Zdziwiło mię to, i zapytywałam sama siebie, co to może być za dwór i dlaczego dziś właśnie staje przedemną w całym swem pięknie.

Dzień miał się już ku schyłkowi, zaczęła się szara godzina. Ojciec i matka zasiedli sobie każde na swoim miejscu przy piecu i gawędzili przy fajeczkach. Ja siedziałam w oknie i patrzyłam na dwór, który rósł przedemną na tle wieczornego nieba.

Był to czerwony dwupiętrowy dom na pagórku z całą masą jabłoni, znaczących drogę po obu jej stronach, na całej pochyłości wzgórza. Po za jabłoniami ujrzałam po jednej stronie stodołę, a po drugiej pralnię, stajnię i piwnicę z małym poddaszem. Koło piwnicy stało jakieś drzewo, ale nie wiem jakiego gatunku.

Było sękatę, miało szerokie rozłożyste gałęzie i robiło wrażenie czegoś bardzo starego i złowrogiego.

Rodzice, siedząc przy piecu, nic prawie nie mówili, ale posiadali widocznie sztukę porozumiewania się z sobą bez słów.

— Żal mi bardzo Lotty — odezwała się wkońcu matka, a ojciec, nie pytając wcale o powód tego współczucia, odpowiedział, że i on mnie żałuje.

Myślał o tem samem, co i ona.

Ale mnie się zdawało, że nie wiedzą, co mówią, bo dopóki zdolna jestem tyle pięknego widzieć i słyszeć, nie może mi być źle na świecie, i radość zawsze towarzyszyć mi będzie.

Wielki dwór rysował się jeszcze ciągle przed memi oczyma. Zdawało mi się, że mogłabym w każdej chwili otworzyć furtkę i zajrzeć w głąb mieszkalnego domu.

Widziałam narzędzia rolnicze pozostawione na podwórzu, spichlerz koło studni, psia budę i gołębnik. Musiał to być jeden z większych dworów, w którym gospodarstwo prowadzone było na dużą skalę. Ale miał charakter jakiś niedzisiejszy, staroświecki, który raził. Był opustoszały i opuszczony. Ani śladu człowieka lub zwierzęcia.

W tem spostrzegłam coś, co mię najbardziej zdziwiło. Podwórze od pola odgradzał płot, w pośrodku którego znajdowała się furtka. Ale jeden z bocznych jej słupów stał prosto i prawidłowo, drugi zaś był bardzo stary, zmurszały, i zdawało się, że mógłby lada chwila runąć, gdyby nie mnóstwo podpór i podpórek, które go podtrzymywały.

Przebiegł mię dreszcz, gdy na niego spojrzałam, ogarnęło mię uczucie bojaźni, i straciłam wszelką ochotę patrzenia w tę stronę.

Zastłoniłam oczy rękami i odwróciłam się od okna, ale dwór nie zniknął, i kiedy znowu spojrzałam

w okno, stał jak poprzednio w całej swej wspaniałości.

Odcinał się na tle ciemnych wzgórz, piętrzących się za nim. W takim dworze musieli chyba mieszkać ludzie bogaci i dzielni. Wszystko, z czego się składał, było w doskonałym stanie — prócz tego jednego słupa. Staralam się nie patrzeć na niego, tak przykre na mnie robił wrażenie, ale kiedy podniosłam oczy, chcąc się odwrócić, dostrzegłam we dworze ludzką istotę. W oknie nad piwnicą, tuż prawie nad słupem, siedziała kobieta i przypatrywała mu się uporczywie. Była stara, o siwych włosach, twarz miała surową, lecz piękną. Siedziała nieruchomo, z oczami utkwionymi w ten jeden punkt. Robiła wrażenie posągu, wykutego z kamienia.

Przestraszyłam się jej bardziej jeszcze niż słupa, odwróciłam się i starałam się odegnać od siebie jej obraz przez wspomnienie o Sigrun. Zaczęłam sobie uprzytamniać naszą wielką przyjaźń, której nic nie będzie w stanie rozluźnić. Zeszłej zimy na przykład nie było jej w domu kilka miesięcy, bawiła u krewnych na południu Szwecji, ale gdy powróciła do domu, okazało się, że w stosunkach naszych nie zaszła najmniejsza choćby zmiana.

Bywało tak zawsze, że gdy chciałam odsunąć od siebie jakąś przykrość, zwracałam się myślą ku Sigrun, i przykrość rozwiewała się. Tym jednak razem nic mi to nie pomogło, i gdy skierowałam znowu wzrok w tamtą stronę, widziałam staruszkę, wpatrującą się uparcie i ponuro w to samo miejsce.

Matka i ojciec, siedząc przy piecu, prowadzili w dalszym ciągu rozmowę o tym samym przedmiocie.

— Ciężko będzie biednej naszej dziewczynie, — twierdziła matka. — Całe szczęście, że młoda, a młodość zapomina.

— Tak, łatwiej jest, gdy się jest młodym, — odparł ojciec, i westchnęli oboje.

Byłam pod wrażeniem tego, co widziałam i tego, co mówili rodzice, i ciężkie myśli zaczęły mnie ogarniać, i zaczęłam wierzyć w to, że rodzice mają słuszną rację, i że mię napewno czeka coś trudnego.

Zrobiłam jeszcze jedną próbę. Przypomniałam sobie Sigrun, kiedy przed kilkoma miesiącami przyjechała po pobycie u krewnych i była taka szczęśliwa. Poznała się tam i zaręczyła z pastorem. Dzieliła się ze mną swoją radością i mówiła, że dobrze bardzo się składa, iż ona, córka pastora, zostanie żoną również pastora. Młody był, nie liczył więcej nad trzydzieści parę lat i był już proboszczem. Partja wprowadziła niewielką, ale on nie ma wcale zamiaru długo tam pozostawać. A był wogóle z rodzaju tych, co to dają wyżej, i nie zazna spokoju, dopóki nie zostanie biskupem.

Zadowolona także była i z tego, że miał urządzone mieszkanie, więc będą mogli pobrać się już na jesieni.

Z początku byłam tem wszystkiem zdziwiona, bo Sigrun powtarzała tak często, że zamierzała zostać siostrą miłosierdzia, ale ona wyłómaczyła mi, że misja żony pastora jest właściwie wyższą jeszcze, bo na takim stanowisku można nieść pomoc całej gminie.

Przypomniałam sobie to wszystko i uspokoiłam się nieco. Lecz w tem spostrzegłam coś nowego i przykrego bardziej jeszcze, niż to, co mię trwożyło poprzednio. Oto stara kobieta wstała i spojrzała na mnie z wyraźną złością i nienawiścią. Jedną ręką mi groziła, a drugą wskazywała na słup, jakby mi chciała powiedzieć: „nie rusz go, bo inaczej źle będzie z tobą”.

Była straszna; z drugiej jednakże strony — stara i bezsilna, wzbudzająca głębokie politowanie.

Lecz w tej samej chwili, gdy rękę przeciw mnie podniosła, obraz znikł. Wszystko: dwór, kobieta i słup. Jakby nigdy przedtem nie istniały. Odetchnęłam z ulgą.

I dlaczego właściwie miałabym się trwożyć?

Czy dlatego, że przyjechał na kilka dni narzeczonny Sigrun? Czyżby to może było przyczyną, że rodzice, którzy go widzieli w kościele, odnosili się do mnie z współczuciem?

Wtem spostrzegłam wynurzające się dwie głowy z poza wybrzeża. Ogromnie się ucieszyłam i zawołałam natychmiast: „Patrzajcie, to Sigrun, chce mi zapewne przedstawić narzeczonego! Zobaczcie! Idą oboje od strony rzeki”. Matka schowała pośpiesznie fajkę, poustawiała krzesła na zwykłych miejscach i wytarła kilka kropel wody, rozlanych na podłodze.

Ojciec stanął obok mnie w oknie, i patrzyliśmy na zbliżających się gości. Narzeczonego Sigrun widziałam wtedy po raz pierwszy. Szedł z Sigrun pod rękę. Nie był bardzo wysoki, ale szeroki w ramionach i silnie zbudowany. Miał piękną głowę, i szpeciła go tylko krótkowzroczność. Nosił okulary.

Kiedy weszli do izby, widziałam, że czuli się szczęśliwi, więc i ja byłam zadowolona i ogarnęła mnie radość, że ich widzę u siebie. Miałam wrażenie, że ten człowiek bronić będzie Sigrun od wszelkich burz życia, a mając taki punkt oparcia nie będzie nieszczęśliwą lub niezadowoloną.

Pastor przywitał się z rodzicami bardzo grzecznie, ale gdy do mnie podszedł, przybrał ton żartobliwy i spojrzął na mnie wzrokiem krótkowidza.

— A, więc to jest ta jasnowidząca osoba ze Stenbrutresku, — rzekł do mnie. — O, tej to się boję, jeżeli przenika dusze ludzkie. Cóż to będzie, jeżeli się jej nie spodobam?

Roześmiał się, Sigrun mu zawtórowała, i nawet rodzice się uśmiechnęli.

Miałam wrażenie, że jestem śmieszna i że zasłużyłam na kpiny.

Czułam, że mi krew napłynęła do głowy, i że się musiałam zacerwienić, lecz wkrótce nabrałam odwagi i zrobiłam się sztywna. Było to dla mnie niezrozumiałe, jak można tak otwarcie mówić o tem, co jest najtajniejszą treścią czyjejs duszy. Jak mogła Sigrun powiedzieć narzeczonemu o tem, z czego się jej zwierzyła w tajemnicy?

Głos Lotty Hedman stał się głośny i krzykliwy, jak wówczas, gdy opowiadała o swych trudnościach życiowych. Widać było, że cierpi.

Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna uśmiechnął się boleśnie.

— Więc pani przypuszczała, że Sigrun postąpiłaby inaczej? Skoro mu oddała całą swą duszę i wszystkie swe myśli, więc coś dziwnego, że go w tajemniczyła w historję swojego życia?

— Zapewne, i ja tak to rozumiem. Ale dla mnie obojętne było to ciężkie. Matka, widząc, że nie byłam w stanie zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź, usiłowała uczynić to za mnie.

— Matka tej dziewczyny jest niewątpliwie mało rozumna, ale Bóg wysłuchał mych modłów i dał mi córkę, która widzi więcej, niż inni ludzie.

Zdawało mi się, że się matka spisała bardzo dzielnie, i byłam tak wdzięczna jej za to, iż miałam ochotę rzucić się jej do nóg. Ale ona zamilkła natychmiast, spotkawszy się z przesywającym nawskroś wzrokiem pastora.

On zaś zaczął mówić poważnie i dobitnie, jak kaznodzieja z ambony:

— My, chrześcijanie, — mówił, — powinniśmy się mocno strzec, aby nie powrócić do czasów bałwo-

chwalstwa. Ci ludzie bowiem, którzyby pragnęli przenikać świat niewidzialny, zamierzają kroczyć swojemi własnymi drogami, a nie temi, które nam Chrystus wyznaczył. Stwarzają sobie własnych bogów, a nawet z siebie robią Boga.

Oczywiście, nikt nie śmiał przeczyć. I gdzie się podziało to wszystko, co widziałam i słyszałam tylokrotnie? Wszystko to uleciało jakby z wiatrem z chwilą, gdy przestąpił próg naszej siedziby. I musiałam siedzieć cicho, kiedy mię w ten sposób w obecności Sigrun i rodziców nawracał.

Spojrzałam na Sigrun. Siedziała i wpatrywała się w narzeczonego w niemym zachwycie. Widać było, jak była szczęśliwą z tego, że chciał poświęcić mi tyle trudu, by naprowadzić na właściwą drogę. Było oczywiście, że zgadzała się z nim w zdaniu, iż to, o czym rozmawialiśmy z sobą tyle razy przedtem, było niegodne i nieprzystojne. Mówił wszak dla mego dobra, a ja powinnam zejść ze złej drogi i stać się taką, jak inni ludzie.

Ogarnęło mnie ostateczne przygnębienie. A więc Sigrun mię opuściła. Wolałabym raczej śmierć.

Mężczyzna, słuchający opowiadania Lotty, podniósł jeszcze raz głowę.

— Czyż to nie jest piękne, że nie posiadała własnych myśli, a myślała tylko jego myślami? W tem właśnie leży piękno jej duszy.

Lotta Hedman ciągnęła dalej, jakby nie zwracając uwagi na to, co powiedział.

— Narzeczeni bawili u nas długo i rozmawiali nietylko ze mną, ale i z rodzicami. Pastor, wyszedłszy z tonu kaznodziei, stał się człowiekiem uprzejmym i miłym. Widać było, że zdawał sobie sprawę z wielu rzeczy, mówił jasno, był przytem wesół, i nic dziwnego, że się mógł Sigrun podobać. Dopóki byli goście, nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa. Si-

grun spojrzała na mnie ze zdziwieniem kilka razy i w końcu zapytała, czy nie jestem chora. Skinełam tylko przecząco głową. Sigrun była przekonana, że to nadmiar wzruszenia, spowodowanego szczęściem, które mnie spotkało, w ten sposób się na mnie odbija.

Odetchnęłam, gdy wyszli, lecz Sigrun powróciła po chwili, bo zapomniała rękawiczek.

Fizjonomia młodego człowieka, który wsłuchiwał się w opowiadanie Lotty Hedman, przybrała wyraz przygnębienia. — Jakiem prawem siedzisz tu i słuchasz o Sigrun? Strzeż się! Zateśkniesz i cierpienie twoje z przed sześciu laty powróci. Będziesz marzył o niej w dzień i śnił po nocach.

— I skorzystała wtedy ze sposobności, — prawiła dalej Lotta, — ażeby mię zapytać, czy nie uważam, że jej naręczony jest człowiekiem nadzwyczajnym, takim, jakich napewno wielu niema na świecie.

A widząc, że milczę, straciła cierpliwość.

— Ależ na Boga, Lotto, co się z tobą dzieje? Myślałam, że rozmowa z pastorem będzie ci pożyteczną, a z drugiej strony, powiedz, jakiego on nabierze o tobie wyobrażenia? A ja mu tyle naopowiadałam o tem, jaka ty jesteś niezwykła...

Siedziałam cicho, dopóki nie wyszła. Ale gdy się drzwi za nią zamknęły, wybiegłam.

— Sigrun, nie wychodź za niego, — zawołałam. — On ciebie unieszczęśliwi! — A gdy spojrzała na mnie z przerażeniem, dodałam: — Zagubi twoją duszę, tak jak moją zagubił!

Sigrun wyprostowała się. — Jesteś zła, — rzekła. — Jak możesz powiedzieć coś podobnego dlatego, że usłyszałaś coś, co ci się nie podobało!

I wyszła na dobre.

Byłam szczęśliwa, że rodzice nie zrobili mi żadnej uwagi. Nie powiedzieli mi nic na pocieszenie,

ani nie pragnęli wyjaśnienia. Weszłam do lodowatej kuchenki i spędziłam tam kilka godzin, płacząc.

Oplakiwałam ruinę pięknej przyjaźni, oplakiwałam zrabowaną mi duszę, która już nigdy do mnie nie wróci. Czułam się pośmiewiskiem ludzi i po raz pierwszy zaznałam goryczy życia.

Lotta Hedman zniżyła głos, jak wówczas, gdy skończyła opowiadanie o liście do króla i Państwie Wiekuistem. Twarz jej przybrała wyraz głębokiego cierpienia.

Przygniatało ją upokorzenie.

HONGER

Boże! Jakże szczęśliwa była Lotta Hedman, że miała swobodę mówienia. Jakże jej było dobrze na duszy, że mówić mogła o Sigrun!

Starła się wyrażać czystym szwedzkim językiem i była uroczysta jak książka do nabożeństwa. Jakaż wdzięczność odczuwała dla słuchacza, który taką niewyczerpaną miał cierpliwość.

— Teraz pozostaje mi tylko jedna jeszcze rzecz do opowiedzenia, zanim poproszę pana o radę.

— Niech się pani tylko nie śpieszy, — brzmiała odpowiedź, — proszę mówić jak i co się pani spodoba, bo dość mamy na to czasu.

Lotta Hedman wpadła znowu w ton wykładowy.

— A więc było to tego samego roku na jesieni, — zaczęła. — Deszcz lał jak z cebra; rodzice i ja cofnęliśmy się do domu, aby nie przemoknąć. Po chwili weszło do izby dwóch silnie zbudowanych, barczystych mężczyzn, z prośbą o schronienie. Ojciec przyjął ich uprzejmie, a matka podsunęła krzesła, by mogli spocząć.

Jeden z nich, bardzo rozmowny, zapytywał ojca, czy nie sądzi, że mogliby znaleźć zajęcie przy budującym się tartaku w Stenbrutresku; drugi zaś siedział cicho i wpatrywał się w okno od wschodniej strony.

Deszcz tłukł o szyby z całej siły, zalewając je i zasłaniając całkowicie widok. Byłam ciekawa, co

też tak mogło przykuwać wzrok tego człowieka, bo przecież nie mogły to być krople deszczu i kulki gradowe.

Więc zbliżyłam się do okna i usiadłam na mojem dawnem miejscu i również patrzeć zaczęłam; nie widziałam jednak nic innego prócz wody, która ściekała strumieniami z dachów stojących dokoła budynków dworskich. Było wogóle tak szaro i ciemno, że tylko z trudem można było odróżnić rzekę. Poza tem nic, prócz czarnej zasłony z chmur.

Przypomniałam sobie tamte wieczory, jakie spędzałam przy tem samym oknie, kiedy to ani ciemność, ani śnieg, ani zawieja nie przeszkadzały mi widzieć tylu różnorodnych rzeczy, i kiedy to przesuwały się przed mojami oczyma to okręty lub pędzące pociągi kolejowe, to czasami królowie w orszaku swych dworzan, albo korowody bawiących się i tańczących aniołków. Ale wtedy nie mogłam nic dostrzec przez moje kochane okno. Oczy moje przestały być widzącymi i nie miałam nic przed sobą prócz domu, oficyny i potoków deszczu.

Widzenia i zwiastowania stały się dla mnie czemś dalekiem i obcem. Chciałam się radować tem, że się stałam podobną do innych ludzi, ale w gruncie rzeczy takie ubóstwo duszy — niemożność widzenia niczego poza tem, co było namacalne odczuwałam jako ciężar życia. Przestało mi ono sprawiać przyjemność. Porównywałam się do człowieka, który siedział niegdyś przy wspaniałej uczcie weselnej, skazanego obecnie na brak okrucichów chleba, dla zaspokojenia głodu.

A nie było nikogo, ktoby mię mógł pocieszyć. Sięgrun wychodziła w tych dniach zamaż i wyjechać miała wkrótce do Applum w prowincji Bochus. Zapytała mnie pewnego razu, czybym nie chciała z nią pojechać, by pomagać w gospodarstwie, bośmy to tak dawniej ułożyły między sobą. Ale odpowiedziałam

jej, że wolę pozostać z rodzicami. Nie chciałam jej towarzyszyć, bo nasz wzajemny stosunek uległ zmianie od czasu mojej rozmowy z jej narzeczonym. Ona straciła swą dawną naturalność, ja zaś nie mogłam porównywać jej już do zabląkanego ptaka, bo zauważyłam, że, przeciwnie, czuje się zupełnie dobrze wśród ludzi.

Moje ponure rozmyślenia przerwał szmer kroków. Ów milczący mężczyzna zbliżył się do mnie i przylgnął do szyb, wciąż oblewanych deszczem.

— Co za nadzwyczajne okno! — powiedział, trącając mnie, abym również spojrzała. — Ciekaw jestem, czy pani widzi to samo, co ja?

— Nic nie widzę, ale chciałabym, aby mi pan powiedział, dlaczego mu się to okno wydaje niezwykłym.

— Widzieć przez okno w Stenbrutresku dwór, który się znajduje w Honger, w prowincji Dala, jest chyba rzeczą niezwykłą?

— Czy ten dwór leży wysoko na wzgórzu, a prowadząca ku niemu droga wysadzana jest po obu stronach jabłoniami? — zapytałam. — Czy pan widzi piwnicę z komórką na poddaszu oraz furtkę ze starym zgniłym słupem, i czy nie siedzi kobieta w oknie nad piwnicą?

— Tak jest, — powiedział i pochylił się naprzód, jakby w zamiarze przyjrzenia się lepiej. — Kobieta siedzi w oknie nad piwnicą. Jest tak, jak pani mówi.

— I czy nie siedzi w okiem wlepionem w słup furtki, jakby nie mogła oderwać od niego wzroku?

— Rzeczywiście, — odpowiedział i westchnął przytem ciężko. — Siedzi i pilnuje, żeby się nie zważył, i będzie tak siedziała do końca świata.

Musiąo go strasznie męczyć to, co widział. Ciężkie krople potu spływały po jego śmiertelnie bladej twarzy i słowa wydobywał z trudem.

— Pani twierdziła wszakże, żeś nic nie widziała, — rzekł, odstąpiwszy od okna i zwracając się ku mnie.

— Dziś nie widziałam, ale ten sam dwór ukazał mi się raz, ostatniej wiosny, odrzekłam.

Ojciec, matka i drugi obcy człowiek zbliżyli się do nas i zaczęli się przysłuchiwać.

— W naszej rodzinie mamy dużo jasnowidzących, — wtrącił się do rozmowy ten ostatni, — ale, o ile mi wiadomo, brat mój nie był nim do dzisiaj.

Ten zaś, który miał widzenie, rzucił raz jeszcze spojrzenie w stronę okna, lecz w tej samej chwili odwrócił się z przerażeniem.

— Teraz spojrzaj na mnie! Zbliży się mój koniec! — zawołał w największym przerażeniu.

Mnie wydało się dziwnem, że taki silny, pełen zdrowia mężczyzna dał się w ten sposób opanować strachowi. Ale gdy spojrzałam na matkę, taką zawsze skora do żarcików i śmiechu, spostrzegłam, że była bardzo poważna.

— Zaśpiewajmy psalm, — zwróciłam się do niej — i zaśpiewaliśmy pierwszy z brzoła, który nam wpadł na myśl.

Tymczasem deszcz przestał padać, rozstąpiła się ciemna zasłona z chmur i jasny promień słońca wpadł do izby.

Ten z braci, któremu się ukazał dwór, siedział na krześle, zasłaniając twarz rękami i nie miał odwagi ani spojrzeć, ani się ruszyć.

Teraz, gdy się rozjaśniło, brat usiłował go ocucić.

— Jonie, wypogodziło się, możemy teraz pójść. Spójrz tylko, wszystko pewnie znikło.

Ale Jon siedział w dalszym ciągu z twarzą w dłoniach i podniósł tylko łokieć, aby brata odsunąć.

— Zostaw mnie, Andrzej, wierz mi, że nie mogę.

Wtedy Andrzej spojrział na nas i pokręcił głową.

— Nic dziwnego, że się boi. To, co widział, należy do dalekiej przeszłości. Z tego dworu pochodził pradziad naszego ojca.

— Zdaje mi się, że brat wspominał, iż dwór ten nazywał się Honger, — wtrąciłam, gdy zamilkł.

— Tak, tak się nazywa i leży w prowincji Dala, a nas, którzy stamtąd pochodzimy, nazywają olbrzymami, i sądzą, że nie dobrze jest mieć z nami do czynienia. Co do mnie, nie widzę, abyśmy się tak bardzo różnili od innych ludzi prócz tego jednego, że każdy z nas kończy samobójstwem. Tak skończył mój ojciec, dziad i pradziad.

W izbie nastąpiła cisza. Przebiegł nas dreszcz. Milczeliśmy, ale obcy człowiek uważał, że powinien powiedzieć więcej, jeżeli powiedział już tyle.

— Stara to historia. Mieszkańcy dworu Honger, byli bardzo zamożnymi i dzielnymi ludźmi. Nie umieli zginać swych hardych karków i naogół żyli w niezgodzie z duchowieństwem. Zdarzyło się, że jeden z nich zabił pastora, jak mówią — z zazdrości. Po której stronie była wina, wiadomo Bogu, lecz ludzie nie byli w stanie tego zbadać. To też nie było zadośćuczynienia, grzech nie został odpokutowany, i wszyscy mężczyźni z tego rodu kończą śmiercią nienaturalną — albo popełniają samobójstwo, albo giną z obcej ręki.

— Czyż to możliwe, aby niewinni mieli cierpieć za winnych? — zapytała moja matka.

— Tak jednakże bywa na świecie, — odparł zagadnięty. — Roztrząsanie tych spraw nie do nas należy. Matka zabójcy wiedziała o wszystkim i dopomogła synowi do ukrycia trupa, którego zakopano pod jednym ze słupów furtki. Stróżowała potem bardzo długo, ażeby nie wykryto śladów, i aby nikt nie zastąpił słupa innym. Przeprowadziła się do izdebki nad piwnicą, strzegąc go w dzień i noc. Teraz ród

Hongerów skurczył się, członkowie jego nie są, jak dawniej rozrzućeni po całym kraju, a stara prababka nie odstępowała nas i nie dopuszcza, aby się znalazł jakiś jej potomek, któryby się poświęcił i odpokutował winę i zdjął w ten sposób ciężące na nas przekleństwo rodowe.

Moja matka była oburzona.

— Czyż to możliwe, aby miało tak trwać dalej? Macie święty obowiązek czynić wszystko, aby wina została wreszcie odkupiona.

Ma pani słusność, — rzekł Honger, — i byli tacy, którzy tego chcieli. Dwóch zamierzało nawet obrać stan duchowny. Wątpię jednakże, by się to podobało starej matce. Jeden z nich zginął przedwcześnie, drugi jeszcze żyje.

Coraz większy strach zaczął mnie ogarniać. Wreszcie, uprzytomniwszy sobie wszystko, postanowiłam zadać pytanie, na które z góry byłam pewną odpowiedzi.

— Czy nie nazywa się Rhonge? — zapytałam.

— Ależ dziecko, co ci też przychodzi do głowy? — wtrąciła moja matka.

— Tak jest, — otrzymałam w odpowiedzi. Przerzucił ostatnią literę nazwiska na jego początek. Jest pastorem w Applum w prowincji Bochus i żeni się podobno w tych dniach z córką pastora ze Stenbrutresku.

Młody człowiek, siedzący naprzeciwko Lotty Hedman, gwałtownie się poruszył.

— Nie mówię, że należy przywiązywać zbyt dużo wagi do starych dziejów, — rzekła Lotta Hedman. — Coś w tem jest jednakże, i czynię sobie teraz wyrzuty, że potem, co usłyszałam, pozwoliłam jechać Sigrun samej. Może dlatego nie wiecie mi się od tego czasu. I jakkolwiek odzyskałam znowu zdolność słyszenia potajemnych głosów i widzenia rzeczy dla innych

niewidzialnych, nikt słów moich słuchać nie chce. Niezawodnie dlatego, że nie spełniła obowiązku, jaki nakładała na mnie przyjaźń dla Sigrun.

Nagle przerwała i ruchliwa jej do tego czasu twarz zeszytywniała.

— Widzę w tej chwili, — dodała tylko, — szerokie pole śnieżne i dużo światła. Widzę szafas, czarny szafas i długie sanie...

Pociąg zatrzymał się właśnie na stacji. Towarzysz podróży Lotty Hedman wstał i zaczął zdejmować pakunki z półki.

Ona tego nie zauważyła, zajęta obrazami swoich widzeń.

Mężczyzna, wysiadłszy z pociągu, słyszał, że Lotta Hedman go wołała, ale on szedł dalej, nie oglądając się za sobą.

Lotta pociągnęła z całej siły za ramię okna, ale zanim zdołała je otworzyć, towarzysza podróży nigdzie dostrzec nie mogła.

S P O T K A N I E

W dwa dni później jechała Lotta Hedman bryczką po kamienistej drodze dystryktu Algered, który leży we wschodniej części prowincji Bochus, w znacznym oddaleniu od merza i tuż prawie na granicy prowincji Dala.

— Boże uchowaj, — myślała, oglądając się dookoła. — Co za brzydki kawałek kraju. Tu chyba daleko smutniej niż w Laponji. Takiego nagromadzenia nagich wzgórz nigdy jeszcze nie widziałam. Jak mogą ludzie mieszkać w tym świecie kamieni?

Okolica była najeżona pagórkami, na których pojawiały się gdzieniedzie krzaki, wrzos lub karłowate świerki, ale przeważały wszędzie kamienie.

Im się bardziej przyglądała krajobrazowi, tem ciężej robiło się jej na duszy.

— Nie mogę pojąć, dlaczego Sigrun i jej mąż wybrali sobie te właśnie strony, — dziwiła się w sobie. — Podobno, że tam, gdzie poprzednio mieszkali, było im dobrze. W pobliżu morza, w porządnej gminie, mieli dokoła ludzi... Skąd przyszło im na myśl osiąść na takim pustkowiu?

Smutny krajobraz nie mógł jej dobrze usposobić.

— Kto byłby tu wstanie wyżyć? Chyba ani pastor ani ktokolwiek inny. A może nie mają na to, aby mogli mię trzymać u siebie? Czy nie lepiej byłoby zawrócić od razu do domu?

Dopiero teraz przypomniała sobie, że się wybrała w tak daleką podróż, nie uprzedziwszy listownie swej koleżanki. Przecież Sigrun nie oczekiwała jej, a o przybycie wcale nie prosiła. Powinna była przesłać jej chociażby ukłony przez pastorstwo z Stenbrutresku, albo w jaki inny sposób ją zawiadomić.

— Boże święty — pomyślała, — przecież to już sześć lat minęło od czasu, kiedy Sigrun wyszła za mąż, a od tej pory tak mało wiedziałyśmy o sobie. Pisała wprawdzie kilka razy pierwszego roku po zamążpójściu, a tego lata, gdy przyjechała w odwiedziny do rodziców, widziałyśmy się kilka razy, ale żadna z nas nie zrobiła kroków, celem odnowienia dawnego przyjacielskiego stosunku. Nie mogę zapomnieć tych pięknych listów, które pisała po urodzeniu córeczki. Pamiętam, jaką mi sprawiały radość. Życzyła sobie wtedy, ażebym do niej przyjechała i pomagała w pielęgnowaniu dziecka, ale odmówiłam. Nie miałam ochoty pozostawać w jej domu w charakterze służącej, a przytem bałam się jej męża. Żałowałam jednak bardzo mojego postępku, dowiedziawszy się o śmierci dziecka, i myślałam, że możeby nie było umarło, gdybym tam była. I Sigrun myślała może tak samo, bo od tego czasu nie otrzymałam od niej ani słówka.

Ciężko się zrobiło na sercu Locie Hedman.

— Niechaj będzie jak chce, — ciągnęła w myśl i dalej, odsuwając od siebie uczucia obawy. — Codziennie przecież słyszałam głosy, które mi nakazywały jechać. Nie dawały mi spokoju podczas moich rozmyślań. Najpierw Sigrun! Najpierw Sigrun! odpowiadały mi zawsze, ilekroć zapytywałam o Państwo Wiekuiste. A kiedy mi rodzice umarli, i brat objął w posiadanie chałupę, pozostawiając mi jako mieszkanie tę ciemną, wilgotną komórkę, w którejby nikt, prócz mnie, nie wysiedziało, powiedziałam sobie: pojedę i przekonam się, czy ona mnie nie potrzebuje. Nabierz

odwagi, Lotto Hedman! Zobaczysz przynajmniej kawalek świata. A może nie wyrzuciłaś pieniędzy na darmo!

Podczas, gdy starała się w ten sposób dodawać sobie otuchy i wzniecić zanikające do siebie zaufanie, spostrzegła, że woźnica podniósł bat, wskazując na śpiczastą wieżyczkę kościółka, wynurzającą się z pośród zieleni drzew.

— Otóż i kościół! — zawołał. — Niedługo będziemy na miejscu.

Wkrótce zaczęła się droga spuszczać ku dolinie, i ukazała się rzeka, przerywająca kotlinę oraz dworki, domki, pola, gaje i wreszcie mały, wiejski kościółek.

Po drodze podniósł woźnica jeszcze raz swój bat.

— Proszę pani, zdaje mi się, że to sama pani pastorowa idzie nam naprzeciw!

Odwaga opuściła całkowicie Lottę Hedman. Uczuła ściśnienie w piersiach. Zatomowało jej oddech!

— Boże mój! Dlaczego postąpiłam tak nierozważnie? Może Sigrun zapomniała mnie zupełnie? Dlaczego wpadłam niepotrzebnie w taką przygodę? Chyba dlatego, by zostać wysmianą i odepchniętą?

A kiedy woźnica, biorąc ją za nową służącą, zapytał, czy nie życzyłaby sobie, aby przystanęli, aby mogła przywitać swą przyszłą panią, straciła zupełnie przytomność umysłu.

— Boże drogi, — westchnęła. — Niczego bym tak nie pragnęła, jak zawrócić! — I zobaczywszy, że Sigrun jest już blisko, usiłowała pochwycić lejce.

— Na litość! Zawróć pan! — zawołała. — Nie chcę jechać dalej. Pojechalibyśmy gdzieindziej, niż należało!

Sigrun, usłyszawszy głosy, spojrziała na jadących. Uśmiechnęła się na widok kobiety, walczącej z wo-

źnicą o lejce, lecz po chwili uśmiech znikł z jej twarzy, położyła rękę na sercu i pośpieszyła ku bryczce.

— Czy to ty, Lotto? Czy to naprawdę, ty? — pytała ze łzami.

A Lotta, widząc, że Sigrun płacze, przypisywała jej wzruszenie wspomnieniom o dziecku, które umarło dlatego, że ona nie chciała go pielęgnować.

Wyskoczyła z bryczki i zamierzała paść na kolana i błagać o przebaczenie.

Lecz zanim zdołała to uczynić, Sigrun schwyła ją w objęcia i powiedziała jej, że się tak bardzo, bardzo cieszy z jej przybycia.

Dla Lotty była to chwila najwyższej w życiu radości. Ale jednocześnie pomyślała sobie: „Jak nieszczęśliwą musi być Sigrun! Bo nie cieszyłaby się tak bardzo z widoku swej biednej koleżanki, gdyby nie była nieszczęśliwą“.

PLEBANJA

Było to w listopadzie, kiedy dni były krótkie, a noce, zdawało się, nigdy się nie kończą.

Na plebanji w Algered po całodziennym ruchu i trudzie dnia zapanowała cisza. Konie zaprowadzono już do stajni, krowy były wydojone, a drób siedział na swych grzędach.

W bocznym budynku, w małym pokoiku, obok pralni, siedziała pogrążona w rozmyślaniach Lotta Hedman. Miała przed sobą Ewangelię, papier, pióro i kałamarz od czasu do czasu przewracała kartki Księgi Cudów.

W głównym budynku kuchennym wygasł już ogień. Kucharka z pokojową zabrały się do poprawiania jakiejś bluzki, która się nie udała krawcowej, a w sąsiedniej izbie leżał w oczekiwaniu wieczery, wyciągnięty na ławie parobek.

W gabinecie, nie jak zwykle przy biurku, lecz w fotelu na biegunach, wsuniętym w róg pokoju, siedział przy lampie pastor i czytał gazetę. Chwilami odrywał się od czytania, a wtedy wzrok jego padał na żonę, która w przyległej bawialni siedziała na tabureciku przy piecu i wpatrywała się w ogień.

Trzecią osobą w tem towarzystwie był pensjonarz, którego państwo Rhonge zdecydowali się wziąć pod opiekę, ażeby poprawić swe mocno uszczuplone dochody. Był to człowiek około lat pięćdziesięciu, z za-

wodu prawnik, który, żyjąc zbyt wesoło, nadszarpnął zdrowia i majątku, i którego rodzina wzięła ostatecznie w kuratelę i wysłała na pustkowie w Algered, nadające się do zaoszczędzenia resztek jednego i drugiego.

Mimo śladów apoplektycznego ataku, nieco wykrzywionej twarzy i cokolwiek opadniętej powieki, był to mężczyzna jeszcze teraz piękny, o eleganckiej postawie, światowem obejściu, inteligentny i wykształcony. Jeden z tych, o których zwykło się mówić: „zajmujący”.

Przysunął fotel do ognia i zabawiał Sigrun opowiadaniem o obcych krajach, jakie zwiedził, a których Sigrun nie знаła i nigdy pewnie znać nie będzie, skazana na zagrzebanie się na tej małej, biednej szwedzkiej plebanijce.

Ale Sigrun tak była przejęta własnymi myślami, że fale przenoszących się słów nie docierały zupełnie do jej uszu, mimo, że chciałyby się wsłuchać w opowiadanie, ażeby rozproszyć bezgraniczną tęsknotę, która ją trzymała w swej władzy.

Pastor od czasu do czasu podnosił głowę. Z łowionych słów nabrał pewności, że tematem opowiadania były opisy miast i krajów, w których się toczyła wojna. Zdaniem jego, Sigrun miała niewyczerpaną cierpliwość, słuchając tych nieskończonych opowieści.

A tam, w pralni, u Lotty Hedman, płukała dzweczyna od krów dzbany po mleku gorącą wodą, a kiedy ta robota została skończona, wzięła Lotta lampę i Ewangelię i przeniosta się do pralni. Kolosalny piec z zasmolonymi kotłami zasłoniła różową firanką, która, usuwając z przed oczu kopeć, zamieniła pralnię nieomal na pokój.

Przysunęła do stołu swój wygodny wyplatany fotel w tej myśli, że przyjdzie może na gawędkę Sigrun, co się dość często zdarzało. Niekiedy zachodził

do niej i prawnik, ażeby posłuchać opowiadania o pani pastorowej albo nawet sam pastor, aby trochę porozmawiać. Dopytywał za każdym razem, czy rozumiała nareszcie siedem tajemnic i to, czym jest Państwo Wiekuiste.

Państwo pastrowie zaproponowali jej, czyby się nie chciała zająć hodowlą drobiu, ale, niestety, nie mogli jej dać lepszego mieszkania jak pralnię. Lotta przyjęła propozycję z największą radością i była z pralni bardzo zadowolona, tem więcej, że Sigrun zadała sobie dużo trudu, by ją zrobić mieszkalną. Wytapetowała ją własnoręcznie, zawiesiła firanki, wstawiła porządne meble i ozdobiła drobiazgami, pochodzącymi z Stenbrutresku.

Mając oddzielne mieszkanie i sporządzając sobie sama strawę, uniezależniła się Lotta od reszty mieszkańców plebanji i była, jak u siebie. Wieczorami miała do rozporządzenia całą pralnię i uważała ją za swój salon, w którym swobodnie mogła się poruszać.

Wtedy, gdy Lotta Hedman przeniosła się do pralni, parobek poszedł do kuchni, bo mu się przykryło samemu w swojej izdebce. Znalazła się tam także wkrótce dziewczyna folwarczna i zaczęła się gawęda o pani i panu i czy też pan pastor nie spostrzegł do tej pory, że się pensjonarz zakochał w jego żonie.

— Jest podobno tak o nią zazdrosny, że jedynie dlatego zamienił parafję w Applum na Alğered, ażeby miała jak najmniej sposobności widywania obcych ludzi. I to tylko dziwne, że go nie obchodzi, iż ten prawnik kocha się w pani.

— E, co tam! — dorzucił parobek. — Ktoby tam zwracał uwagę na starego sparalizowanego chłopca?

W salonie chory prawnik zamilkł. Wyciągnął się w fotelu przed ogniem i myślał nad tem, o czymby mówić, aby zainteresować Sigrun.

Bo zauważył, że nie słuchała wcale jego rozwodzenia się nad rolą i stanowiskiem pięknych kobiet w innych społeczeństwach. Jaki wywierają dobroczynny wpływ na swoje otoczenie, jak je przeistaczają, jak uszlachetniają, i czym się stają mężczyźni, jeśli mieli szczęście spotkać na swej drodze prawdziwie piękną kobietę.

Bardzo często szukał sposobności rozmawiania z pastorem w obecności Sigrun. Zwracał się do niego, ale mówił dla niej. Chciał ją zmuszać do czynienia porównań między doświadczonym bywalcem, który tyle widział i słyszał na szerokim świecie, i którego łączyły stosunki z ludźmi światowej sławy, a skromnym pastorem, który zakopał się na pustkowiu, nie mógł się dalej kształcić i iść z postępem, a którego, przeciwnie warunki życiowe zmuszały do cofania się i zasklepiania na stanowisku prostego chłopskiego kapłana.

Pastor nim pogardzał, drażnił go często, a nawet prześladował. On się nie bronił, nosił wszystko w tem przeświadczeniu, że nic tak bardzo nie obniża męża w oczach żony, jak jego nietakt i niedelikatność.

Posiedziawszy spokojnie kilka minut, prawnik zabrał głos na nowo, ale tym razem na inny temat. Mówił o okropnościach wojny, o Towarzystwie Czerwonego Krzyża, o jego organizacji i działalności sióstr miłosierdzia i jak często padają ofiarą swego szlachetnie pojmowanego obowiązku i poświęcenia.

Spostrzegł od razu, że siedząca obok młoda kobieta oderwała się od swych własnych myśli i zaczęła słuchać.

W tym samym czasie Lotta Hedman w pralni, zamienionej na pokój, siedziała wprawdzie nad rozłożoną Biblią, ale nie mogła skupić myśli. Zaczęły się błąkać i zatrzymały się wreszcie na Sigrun.

— Czyby ona przestała kochać męża, że prawie nigdy teraz o nim nie mówi? Służba uważa, że pa-

stor jest o nią zazdrosny, ale jeżeliby tak było naprawdę, to ją krzywdzi, bo jeśli go nawet nie kocha, to napewno nie kocha się w nikim innym. Dlaczego się tak o nią niepokoję? — szeptała do siebie. — Czyby ją miało spotkać coś złego?

Pastor nie ruszał się z fotela w swoim pokoju i czytał przy lampie gazetę. Od czasu do czasu rzucał spojrzenia na rozmawiającą w bawialni parę, ale czynił to z obojętnością i spokojem. Wtem musiało coś zwrócić jego uwagę, bo się zaniepokoił. Czy może doniosłeszy i cieplejszy ton głosu opowiadającego, czy też zmiana w sposobie słuchania kobiety.

Złożył gazetę, wstał i zaczął obserwować z naprężeniem.

Obcy człowiek mówił ciągle jeszcze o działalności sióstr miłosierdzia i dobroczynności ludzkiej podczas wojny. Wkrótce ujrzał łzę, spływającą po twarzy słuchaczki. Spłynęła i spadła na suknię. Błyszczała i znikła, a za nią potoczyły się inne.

Mówił dalej, udając, że nie widzi jej wzruszenia, wreszcie nachylił się ku niej blisko i rzekł:

— A więc to jest pani pragnieniem? Więc to do tego pani tęskni? Smutno pani, że nie należysz do ich grona?

— Alboż nie tęskniłam do tego zawsze? Alboż nie uważałam i dawniej tego powołania za najwłaściwsze dla mnie? Czy to nie jest okropne, że muszę siedzieć beczynnie, wiedząc, że mogłabym się przydać tam, gdzie jest tyle cierpienia?

— Przecież to zależy od pani. Wszak mogłaby się pani wyzwolić.

— Wyzwolić się? Tak — prawda. Przecież i ja mam prawo, jak inni ludzie, do rozporządzenia sobą. Nieprawda? — zwróciła się z załamaniem rękami do tego, z którym mówiła.

A on schwycił ją za ręce i przyciągnął do siebie.

— Zapewne, że ma pani takie samo prawo do życia, jak każdy, — szepnął.

W tej samej chwili usłyszeli za sobą kroki. We drzwiach ukazała się złowroga twarz proboszcza. Wpadł z krzykiem do bawialni i wszelkie wyjaśnienie okazało się niemożliwe wobec stanu podniecenia, w jakim się znajdował.

Na chorego człowieka oddziało to w sposób fatalny. Skulił się bezsilny w fotelu i nie mógł porużyć się z miejsca. Sigrun podbiegła do męża, sądząc, że zdoła pohamować ten nagły wybuch popędliwości, rzuciła jednakże przedtem choremu ostrzeżenie:

— Zdobądź się pan na wysiłek i uciekaj pośpiesznie!

— Edwardzie! Co to ma znaczyć?! — zwróciła się do męża. — Co ci się stało?

Ale pastor był w napadzie furji nieprzytomny. Odepchnął ją od siebie, a ona, padając, uderzyła głową o róg stołu. Lecz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, zostawił ją leżącą na podłodze, a sam pobiegł za uciekającym przez schody, przedpokój i podwórze.

Lotta Hedman w swojej pralni, usłyszawszy krzyki, trzaskanie drzwiami i odgłos kroków, stanęła we drzwiach, aby się przekonać, co się stało. Zobaczyła przebiegających koło niej dwóch mężczyzn, którzy znikli w ciemnościach nocy. Przerażona hałasem służba wybiegła z kuchni, i pierwszy obraz, jaki się przedstawił jej oczom, była ślaniająca się pani pastora, mogąca się ledwie utrzymać na nogach i brocząca krwią z rany na głowie.

Pośpieszyli ku niej na ratunek, ale ona skinęła niecierpliwie ręką.

— O mnie się nie troszczcie! Pobiegnijcie lepiej za pastorem i tamtym panem, żeby nie było jakiegoś nieszczęścia!

A gdy oni w chwilowem osłupieniu nie zastosowali się natychmiast do jej życzenia, krzyknęła gwałtownie:

— Czyście nie słyszeli, com powiedziała?! Czego stoicie i patrzycie się na mnie, zamiast się śpieszyć?! Czy nie zrozumieliście, com powiedziała? — Tam może się stać nieszczęście!

Więc pobiegł parobek, a za nim czerstwa, mocna dziewczyna folwarczna; dwie zaś służące pozostały przy Sigrun, ażeby się nią zaopiekować.

Widząc, że się chwieje na nogach, jakby się pod nią chwiała kamienna podłoga, przysunęły krzesło i prosiły, żeby usiadła.

— Sił nie czuję, — zaczęła się skarżyć, jak dziecko. — Zaprowadźcie mnie do Lotty Hedman.

Służące wzięły ją pod ręce i przez podwórze zaprowadziły do pralni.

Lotta Hedman, która stała we drzwiach, pośpieszyła naprzeciw Sigrun, wprowadziła do siebie i usadowiła w fotelu, który czekał na nią cały wieczór.

— Lotto, zapewniam cię, że nie zrobiłam nic złego. Zapewniam cię. Siedzieliśmy tylko i rozmawialiśmy. On był w swoim pokoju i czytał. Wtem, wpadł i rzucił się na nas.

Powiedziawszy to, zbladła i omdlała, lecz dzięki troskliwości Lotty Hedman przyszła wkrótce do siebie.

Rana nie była głęboka ani niebezpieczna, i nie stan rany, którą umiejętnie opatrzyła, niepokoił Lottę Hedman. Sigrun była nie tą samą, co zawsze. Usta się jej nie zamykały, i powtarzała ciągle jedno i to samo głosem donośnym i krzykliwym, niepodobnym do dźwięcznego i pełnego słodyczy głosu, który był tak wielkim jej wdziękiem. Widocznem było, że chciałaby opowiedzieć Locie przebieg tego, co się stało, ale nie była w stanie uporządkować myśli i powtarzała tylko w kółko jedno i to samo:

— Nie zrobiłam nic złego. Siedzieliśmy tylko i rozmawialiśmy. On był w sąsiednim pokoju i wtem rzucił się na nas.

— Wiem o tem, kochana Sigrun, że nie byłabyś zdolna popełnić nic złego, — uspokajała ją Lotta Hedman, używając formy „ty”, jak to była zwykła z ynic od pewnego czasu.

Lecz Sigrun zaczynała się na nowo usprawiedliwiać temi samemi słowy.

Lotta usiłowała ją uspokoić, lecz napróżno. Zapropionowała wreszcie, aby Sigrun poszła do siebie i położyła się do łóżka.

— Nie! Tam już nigdy więcej nie wrócę! — rzekła krótko i dobitnie.

— Tak chyba nie myślisz, aniele kochany, — starała się przemówić jej do rozsądku Lotta.

— Pozwól mi się położyć tutaj, w twojem łóżku. Obawiam się, że zachoruję. Więc, czy nie lepiej, że zostanę przy tobie, gdzie mogę się czuć bezpieczną? — błagała.

I znowu powróciła do tego, że nie uczyniła nic złego i spojrzała na otaczające ją kobiety rozgorączkowanemi oczami, jakby zapytując, dlaczego tak mało okazują zrozumienia i zainteresowania dla tego, o czem ona im zapewnia.

Lotta naradzała się długo ze służącemi i wreszcie doszła do przekonania, że najlepiej będzie uczynić tak, jak chora sobie życzy. Pokojowa poszła do mieszkania i powróciła z prześcieradłem, kołdrą i poduszka, a Sigrun zaczęła się tymczasem szybko rozbierać i ledwie że zdołały przygotować jej łóżko, kiedy już była gotową do ułożenia się do snu.

Lecz zanim to uczyniła, krzyknęła raz jeszcze tak głośno, że można ją było słyszeć na końcu podwórza:

— Nic złego nie popełniłam! Siedzieliśmy tylko i rozmawialiśmy, kiedy wypadł ze swego pokoju i rzucał się na nas.

Otuliła się potem kołdrą i zwróciła się do Lotty Hedman tonem rozkazującym, jakkolwiek nieco już mniej rozdrażnionym:

— Lotto, pamiętaj, że nie wolno ci iść spać! Musisz przy mnie czuwać! Weź swoją Bibliję, usiądź przy stole i, na litość Boską, nie daj mnie stąd ruszyć!

I stało się, jak sobie życzyła. Lotta usiadła nad swoją Bibliją, a kucharka z pokojową poszły do domu, aby się dowiedzieć, co się tam działo.

Jedna z nich powróciła wkrótce z wiadomością, że nie stało się nic tak bardzo niepokojącego. Obcy chory pan uciekł, a proboszcz podczas pogoni wpadł do rowu i podobno złamał nogę.

Nie było się wprawdzie z czego cieszyć, ale mogło się być skończyć czemś daleko gorszem.

Sigrun usprawiedliwiała się w dalszym ciągu, ale gdy ją Lotta zapewniła, że nie stało się nic złego, uspokoiliła się i zasnęła.

PRZYGOTOWANIA

Ludzie, którzy w ten lub inny sposób dowiedzieli się o wydarzeniach, jakie miały miejsce tydzień temu na plebanji w Algered, obwiniali Lottę Hedman, czyniąc ją za wszystko odpowiedzialną.

— Gdyby młoda żona pastora nie miała przy sobie tej egzaltowanej osoby, która jej przewróciła w głowie swemi widzeniami, nigdyby się takie nie-szczęście nie było zdarzyło, — mówili prawie wszyscy bez wyjątku.

Głos ogółu bywa nie zawsze jednak sprawiedliwy i nie był nim w tym wypadku. Lotta Hedman w ciągu całego swego życia nie była nigdy tak spokojna i zrównoważona, jak właśnie teraz. Jej zaświatowi przyjaciele nie wtajemniczyli jej w to, co się miało zdarzyć na plebanji, można więc zrozumieć straszny niepokój w jakim spędziła pierwszą noc na czuwaniu przy Sigrun.

— Jak się to wszystko skończy? — zapytywała siebie raz po raz. — Jak ci ludzie po tem, co zaszło, zaczną znowu żyć z sobą? On postąpił jak dziki zwierz, jak ktoś, co postradał całkowicie rozum.

To tylko ją pocieszało, że jedynym motywem jego postępowania była zazdrość; z drugiej zaś strony Sigrun przeleżała się go wprawdzie, ale, o ile się zdaje, nie przestała kochać. Jeśli zaś tylko istniała jeszcze miłość, to może nie wszystko jest stracone,

i jest nadzieja, że się wszystko między nimi da jeszcze wyrównać.

Około pierwszej po północy obudziła się Sigrun, siadła na łóżku i szeroko rozwartemi oczami zaczęła się rozglądać wśród nieznanego otoczenia. Wydawała się z początku zaniepokojona, ale widocznie przypomniawszy sobie wkrótce wszystko, co zaszło, i rzekła:

— Lotto, połóż się, ale proszę cię, żebyś się nie rozbierała. Musisz być w pogotowiu, w razie, gdyby zaszła potrzeba mnie obronić.

Potem upadła na poduszki i znowu zasnęła.

— Boi się wprowadzić jeszcze, ale jest, chwala Bogu, przytomna, — pomyślała sobie Lotta. — Jutro wstanie zdrowa.

Zrobiła, jak jej kazano. Ułożyła się na kanapce w ubraniu i spała do godziny siódmej, poczem wstała i skierowała się ku drzwiom w zamiarze pójścia do swych codziennych zajęć. Lecz w tej samej chwili obudziła się Sigrun i zaczęła drzeć i płakać, jak małe dziecko, ponieważ Lotta zamierzała pozostawić ją samą.

Nie pozostało więc nic innego, jak wychylić się przez okno i czatować, aż nadejdzie ktoś z domowników. Po chwili ukazała się na podwórzu dziewczyna folwarczna, którą Lotta poprosiła, aby, ze względu, iż pani pastorkowa jest jeszcze cierpiąca, chciała ją zastąpić przy karmieniu drobiu.

A dziewczyna przyniosła już z samego rana całą garść nowin.

Prawnik nie powrócił. Zatrzymał się u zakrystjana, który mieszkał w dość znacznej odległości od plebanji, i przysłał tylko bardzo wcześniej po swoje rzeczy.

Nikt go tam tak bardzo nie żałował. Przeciwnie, wszyscy byli radzi, że się go pozbyli.

Ale najgorzej działo się pastorowi. Miał, o ile się zdawało, złamaną nogę i kazał zatelefonować po doktora.

— Tak bywa, kiedy się nie umie postępować po ludzku, — dorzuciła uwagę dziewczyna. — Widzieliśmy przecież wszyscy, że choć prawnik kochał się w pani, on był jej zupełnie obojętny.

Lotta Hedman nie martwiła się tem bynajmniej, że pastor przykuty był do łóżka. Sigrun będzie miała trochę czasu, aby swój strach przezwyciężyć. Lotta widziała nawet w takim zbiegu okoliczności łaskę Bożą.

— Chwalić Boga, — westchnęła, — wszystko ma się ku dobremu. Wszystko, da Bóg, przezwyciężą i będą może szczęśliwsi niż przedtem.

Wkrótce potem przyszedł cichaczem chłopiec od zakrystjana i przyniósł list, który Lotta, nie otwierając, odesłała z powrotem.

Dziwnie cicho było tego dnia na plebanji. Sigrun przespała go cały, i wszystko było jakby pograżone we śnie.

— Tak tu dziś cicho, że aż przykro, — twierdziła służba. — Jakby w domu leżał umierający, — powiedziała kucharka do pokojówki, gdy obie przyszły zapytać o zdrowie pani.

Proboszcz przysłał po Lotte. Pragnął zasięgnąć wiadomości o stanie zdrowia żony. Lotta nie miała zamiaru ukrywać prawdy i powiedziała, tak jak było, że Sigrun spała ciągle, ale nie miała gorączki, a ranka na głowie była bardzo nieznaczna.

Ale kiedy pastor zaproponował, by się żona przeniosła do domu, Lotta kategorycznie się temu oparła.

— Sigrun jest przygnębiona i wystraszona, najlepiej więc będzie pozostawić ją tu, gdzie jest, — odpowiedziała mu bez ogródek.

— Więc ona się mnie tak boi? — zapytał pastor.

Twarz jego wyrażała wielkie cierpienie, którego powodem był nie tylko ból nogi.

— Powrót do domu należy pozostawić jej samej. Niech tylko odzyska siły, a wszystko znowu będzie dobrze, — zauważyła Lotta.

Chory westchnął. — A ja się obawiam, że niestety, jeżeli nawet odzyska siły, nie odzyska dość po temu odwagi, ażeby powrócić.

Lotta Hedman nie przypuszczała nigdy, aby mogła znaleźć w swem sercu małą choćby szczyptę współczucia dla tego człowieka, który zniweczył sny jej młodości. A jednak teraz, widząc, jak cierpi, chciała go koniecznie pocieszyć, i postanowiła sobie, że ze swojej strony nie będzie szczydziła niczego, aby tych dwoje ludzi znowu z sobą zjednoczyć.

— Mam nadzieję, że szczęście powróci jeszcze do tego domu, — rzekła na dobranoc.

Zdaniem doktora, który został wezwany, stan Sigrun wyglądał raczej na wielkie wyczerpanie nerwowe, niż na jakąś inną chorobę.

— Jakkolwiek trudno mi w tej chwili orzec coś stanowczego. Może to być również początkiem jakiejś zakaźnej choroby, czego niepodobna stwierdzić już dzisiaj. Należy się z nią obchodzić bardzo ostrożnie, nie sprzeciwiać się jej w niczem i nie męczyć namawianiem do czegoś, czegooby sobie nie życzyła, — dodał, żegnając się z Lottą.

Słowa te, ponieważ były wypowiedziane w obecności kilku osób ze dworu, okazały się w przyszłości bardzo pożyteczne, i kiedy je sobie Lotta później przypominała, musiała je uważać za prawdziwą łaskę Opatrzności.

Życie płynęło monotonnie przez cały tydzień.

Codziennie przybiegał z listem chłopiec od zakrystjana i codziennie tak samo odprowadzany był z kwitkiem. Co wieczór musiała chodzić Lotta z raportem do proboszcza i zdawać sprawę z tego, co porabiała Sigrun.

A Sigrun właściwie nic nie porabiała, tylko spała od rana do wieczora.

Kiedy Lotta Hedman zastanawiała się później nad ówczesnym stanem Sigrun, doszła do przekonania, że Sigrun nie tyle może spała, ile, leżąc spokojnie, zbierała siły na przyszłość. A kiedy chwilami leżała z otwartymi oczami, nie odzywała się również do nikogo, lecz widać było, że myśl jej pracuje. To ścigała brwi, to robiła potakujące ruchy głową, jakby stwierdzając, że to, co zamierzała przedsięwziąć, było słuszne.

Pewnego dnia wezwała do siebie Lottę i poprosiła ją, aby poszła na plebanję i wyjęła z komody siedemset koron, które nie powinny leżeć w pustym domu. — Są one moją własnością, — dodała, — zaoszczędziłam je sobie z pieniędzy, przysyłanych mi przez rodziców na upominki urodzinowe.

Lotta przyznała jej słuszność i poszła po pieniądze. A potem, któregoś dnia poprosiła Sigrun o gazety i zaczęła się w nie wczytywać. Ale okazało się, że studjowała tylko ogłoszenia, dotyczące parostatków i rozkłady jazdy kolejowej. Lotta nie zwróciła na to specjalnej uwagi i przypomniała to sobie dopiero później.

W końcu tego niechżącego się skończyć tygodnia, nastąpiła zima. Zimno nie było wprawdzie wielkie, ale śnieg spadł tak obfity, że zrobiła się doskonała sanna.

Ta białość dokoła, przypominała Sigrun rodzinne strony i dom rodzicielski. Wspomnienia te wpłynęły na nią ożywczo. Tego dnia, kiedy spadł pierwszy śnieg, wstała i ubrała się po raz pierwszy.

— Dobrze dziecko robisz, — rzekła Lotta Hedman. — Teraz jestem pewna, że na Boże Narodzenie będziesz zupełnie zdrowa.

Młoda kobieta zatrzymała się w trakcie ubierania.

— Alboż to tak już blisko Bożego Narodzenia? — zapytała. — Zapomniałam zupełnie, że święta za pasem. — Zdawałoby się, że przypomnienie o zbliżającej się uroczystości, która się spędza w gronie rodzinem, zrobiło na niej przykre wrażenie.

— Tak, jeżeli mam coś przedsięwziąć, to musi się to stać jaknajprędzej. Muszę być gotowa przed Bożym Narodzeniem.

Słyszac to, Lotta była pewna, że idzie tu o jakiś świąteczny upominek, który powinien być na czas wykończony.

Pewnego razu, podczas wieczornej gawędy, wspomniała Lotta o człowieku, którego spotkała w pociągu. Opisała Sigrun jego wygląd, miły głos i ujmujący sposób obejścia.

— Był dla mnie niezmiernie grzeczny, ale właśnie w chwili, kiedy miałam widzenie, wyskoczył z pociągu.

— A co widziałaś wtedy? — zapytała Sigrun.

— Coś z dalekiej północy. Jakieś wielkie pole lodowe, czarny szalaś i długie sanie... — odpowiedziała Lotta.

Sigrun leżała cicho i zbierała wspomnienia.

— Wiesz, Lotto, że ty jesteś naprawdę nadzwyczajna, — odezwała się po chwili. — Ten młody człowiek, którego spotkałaś, nie może być nikim innym, jak Swenem Elversonem.

Twój opis zgadza się najzupełniej z jego wyglądem, a to, że uciekł, kiedy słyszał o lodzie i okolicach podbiegunowych, tem bardziej mnie przekonywa, że to nie mógł być nikt inny, tylko on.

— Któż to jest ten Swen Elverson? — zapytała Lotta.

Sigrun ocknęła się ze swego zwykłego stanu zamyslenia i zaczęła opowiadać Locie historję Swena Elversona.

— Jakżebym pragnęła wiedzieć, gdzie on się teraz znajduje, — rzekła cicho. Gdybyś wiedziała, jaki był nieszczęśliwy, czując się wzgardzonym i potępionym. Potem dowiedziałam się, że zdobywał się na czyny, do spełnienia których inni nie byliby wcale zdolni. Kazał się zamknąć w jednej celi z mordercą, ażeby go skłonić do przyznania się do winy. Ożenił się z nauczycielką szkoły elementarnej, jedną z najbrzydszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałam. I to tylko przez swoją nieograniczoną dobroć! Kiedy mieszkaliśmy w Applum, nie było człowieka, któryby go nie znał przynajmniej ze słyszenia i o nim nie mówił. Ale wyprowadził się stamtąd przed nami.

Lotta Hedman przypomniała sobie miły, łagodny głos towarzysza podróży. Boże! jakież ten człowiek wzbudzał szczególne do siebie zaufanie.

— Żałuję, iż nie wiedziałam o tem wszystkiem wówczas, kiedy go spotkałam, — wtrąciła Lotta, — ale możesz być pewna, że się nim Bóg zaopiekuje.

— Jaka szkoda, że nie wiem, gdzie on się teraz podziwia, — rzekła Sigrun. — Mimo, że opuścił Applum, wszyscy biedni i nieszczęśliwi zwracali się do niego, szukając ulgi w swych troskach. Może się gdzieś ukrył, i nie wiadomo wogóle, gdzie go szukać.

Tego wieczora, kiedy rozmawiały o Swenie Elversonie, Sigrun wstała, ubrała się i poszła do mieszkania Lotty. Lotta wyniosła do pralni stół i wyplataną fotel, piec zasłoniła firaneczkami, pokojowa przyniosła herbatę i było tam tak przyjemnie, jak bywało niegdyś.

Ale, kiedy służąca zapytała, czy pani czuje się dość zdrową, aby się przenieść do domu, Sigrun zaczęła się skarżyć na ból głowy i gardła i rzekła, zwracając się do służącej:

— Wiesz, Malino, że się obawiam, abym się teraz dopiero nie rozchorowała na dobre. Czy to nie będzie może jakaś wysypka, bo ciało mam czerwone...

Dla Lotty, która wiedziała, że Sigrun była zupełnie zdrowa, i że nie mogło być mowy o tem, aby dostała wysypki, zachowanie się przyjaciółki było niezrozumiałe.

Przyszła jednak do przekonania, że Sigrun zależało prawdopodobnie na tem, aby uniknąć jakiegokolwiek wzmianki o spędzeniu świąt w domu.

Lottę ogarnął niepokój.

— Czyż ten lęk przed mężem nigdy u niej nie przejdzie? Ona miała to zawsze do siebie, że ilekroć się czegoś przestraszyła, trudno się jej było po tem uspokoić.

— Kiedy sobie pomyślę, że ona, która z takim zamiłowaniem pielęgnowała zawsze chorych, nawet o niego nie zapyta, zaczynam się obawiać, że się tu coś niedobrego święci.

Spojrzała na Sigrun. Na twarzy młodej kobiety malowało się wielkie znużenie.

— Dlaczego ją los prześladowuje? — pomyślała sobie Lotta — taką dobrą, czystą i niewinną! A jaka ona przytem wyjątkowo piękna i delikatna! Czy to odpowiednie dla niej mieszkanie — ta okropna pralnia?

Prawda, że nagie, wybielone wapnem ściany, ordynarna drewniana podłoga i okopcony sufit składały się na otoczenie, nieharmonizujące bynajmniej z subtelną urodą młodej kobiety.

— Obojgu niema czego zazdrościć, — ciągnęła dalej w myśli Lotta. — A czy jemu jest dobrze? Taki osamotniony cierpi i tęskni za nią.

Smutek unosił się w powietrzu. W chwilę potem spostrzegła Lotta, że Sigrun zasłoniła twarz rękami i kołysała się tam i napowrót.

— Czy nie lepiej byłoby umrzeć? Ach, jak ja bym chciała nie żyć! — jęczała.

— Bo ci nieprzyjemnie i nudno mieszkać w tej pralni, — przerwała jej Lotta. — Czy nie byłoby najlepiej, gdybyś się przeniosła do siebie?

Sigrun podskoczyła. Twarz jej stała się szarzielona.

— Co ty sobie myślisz? Przekupił cię chyba?

— Ależ, Sigrun! Straciłaś zmysły, jak widzę!

— Tak jest, Lotta, byłam bliska pomieszenia zmysłów z przerażenia. Ty nie wiesz wcale, jak cierpiałam!

I zaczęła mówić o sobie.

— Czy sądzisz, że mogłabym wrócić do dawnego życia? — zapytała.

Lotta Hedman zaczęła prawie coś o zazdrości, która była jakoby błędem lat młodych, ale która z wiekiem i dojrzałością zwykła zniknąć.

— Nie, — odparła Sigrun, — u niego nie zniknie. U niego jest dziedziczną — spuścizną po pradziadach. U niego w rodzinie wszyscy byli takimi. Czy myślisz, że on jedyny raz mi przyrzekał, że się zmieni. Czynił to tyle razy, a jakie są tego wyniki? Czy to co pomogło? Przecież nie dla czego innego przenieśliśmy się na to pustkowie, jak tylko dlatego, aby nie miał powodu do dręczenia mnie i siebie swojemi podejrzeniami. No, i widzisz, jak się to skończyło.

— Czy sądzisz może, że mu nie współczuję? Alboż nie widzę, co on przechodzi. Ostatecznie, upada

coraz niżej, traci zapał do pracy i coraz gorzej pełni swoje obowiązki kaznodzieji.

— Jest mi go bardzo żal, ale jest mi żal także i siebie. Sprawił to, że się go boję i, że straciłam całą odwagę do życia. Wrócić do niego równałoby się nałożeniu sobie kajdan. Ale ty mnie może nie rozumiesz?

— Więc cóż z sobą poczniesz, jeżeli do niego nie powrócisz? — spytała Lotta.

Młoda kobieta podniosła się z miejsca.

— Chodźmy spać, Lotto, — zwróciła się do przyjaciółki z gorzkim uśmiechem. — Wkrótce jedenasta, a ty przecież zwykłaś wcześniej wstawać dla karmienia drobiu...

KONIEC



103200

Przełożyła z oryginału Janina Palmén

Mycie Alkaliczne

do mycia twarzy osób z cerą tłustą, poryską, skłoną do wgrów i pryszczu oraz przy łuszczeniu się skóry.



W wypadkach uporczywszych używać należy N: 2.

TOW. AKC. „*Jr. Karpiński*”
WARSZAWA